Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1890. Rok XIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków. ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Ostatnie wspomnienia z ostatnich polskich łowów

skreślił

Leopold hr. Starzeński.

Jak liście jesieni zwiędłe, które wiatr mroźny jedne po drugich od konara odrywa i niesie gdzieś w śmierci krainę, tak i towarzysze dawnych łowów naszych, z dniem każdym odpadają i myśl nasza za nimi gdzieś po mogiłach gonić musi. My, starzy myśliwi, stoimy tu jak owe pozostałe jeszcze gdzieniegdzie drzewa na wyczyszczonym zrębie. Na próżno wyciągają one jeszcze ramiona ku dawnym towarzyszom, bo te już zwaliła ręka siekierą zbrojna, więc swe gałęzie spuszczają ku ziemi ze smutkiem ale spokojnie, czekając tylko chwili, kiedy i w nie zabójcza siekiera uderzy.

Tę myśl nasunęła mi chwila, w której zeszłej jesieni, najwierniejszego 30-letniego towarzysza przygód myśliwskich, ś. p. Kazimierza hr. Wodzickiego, w Olejowie, w czarnym kontuszu złożyliśmy do grobu. Ze łzą w oku stałem tam na wiejskim Olejowskim cmentarzu, na mogile tego najlepszego doradcy i przyjaciela, tego niezrównanego towarzysza broni, tego z serca i zawodu znakomitego przyrodnika, którego ostatnią wolą było, by nie składano zwłok jego w zimnym, murowanym kościelnym grobowcu, lecz w łonie tej ziemi, którą tak ukochał. Do hołdu, który z rozmaitych zakątków naszej rozległej Ojczyzny oddanym został pamięci ś. p. Kazimierza — cóż ja dodać mogę? Wprawniejsze już pióra to uczyniły i podniosły olbrzymie zasługi, położone dla kraju przez tego męża, wzorowego obywatela, gospodarza, pisarza i przyrodnika.

Jeden tylko jeszcze listek widzę na mojej drodze i ten listek wpleść pragnę do owego wieńca, który kraj nasz cały na jego trumnie złożył. Tym listkiem są wspomnienia, które mnie przeważnie wiążą z ś. p. Kazimierzem, jako z pierwszorzędnym myśliwym.

Pozwolą mi Szanowni Czytelnicy „Łowca", że się z nimi podzielę tym listkiem z mogiły owego męża, którego musieli tak jak ja pokochać sercem całem — ci wszyscy, którzy go znali. Prócz jego „Zapisków ornitologicznych" i wielu dzieł treści gospodarczej, co chwila spotykaliśmy w łamach „Łowca" artykuły naukowej treści, nadzwyczaj dla myśliwych cenne — obok spostrzeżeń i wspomnień osobistych, oraz mistrzowskiem piórem nakreślonych, a zawsze najrozmaitszych przygód z jego burzliwego myśliwskiego żywota.

Niemałe zapewne zajęcie wzbudzić musiały opisy polowań na dziki z ogarami i kundysami. To polowanie było zawsze ulubioną rozrywką ś. p. Kazimierza.

Ja miałem to szczęście, że od przeszło lat 30tu byłem jego nieodstępnym towarzyszem i prawie we wszystkich opisywanych przez niego przygodach odgrywałem rolę widza lub aktora.

Dla uzupełnienia tych przez niego opisywanych wydarzeń, dorzucić tu pragnę kilka szczegółów, które on pominął pamięcią, a które dla dzisiejszych myśliwych, którzy z tradycyi tylko może znają nasze dawne łowy z ogarami na grubego zwierza, nie będą bez zajęcia.

Ś. p. Kazimierz Wodzicki jest dla mnie w myśliwstwie postacią legendową. Zbyt może ku poezyi skłonna wyobraźnia moja, stworzyła sobie z niego taką postać — postać podobną do owej, którą sobie Wincenty Pol wytworzył w Mohorcie o kresowych rycerzach.

A przecież takich kresowych rycerzy spotykamy na naszych drogach już nie wielu. Są to rycerze, którzy strzegą dawnej warty, dawnej wiary i idei — a skoro nowa fala napływa, broń swą składają, ale wiernie u swej dawnej stoją warty i bronią co jeszcze da się obronić

Ś. p. Kazimierz był w mojem przekonaniu takim kresowym rycerzem. Dla niego to napisałem ów wiersz przed laty umieszczony w „Łowcu“: „Ostatnie polskie łowy“.

Ażeby to wyjaśnić, pozwólcie mi bracia myśliwi chwilkę uwagi. Od lat wielu żyję na myśliwskiem polu — tam mojej najwyższej szukałem rozkoszy. Szukałem jej i w dalekich stronach, i za morzami, polowałem na wszystko, o czem tylko dusza myśliwska zamarzyć może, a więc najrozmaitszych łowieckich wrażeń z pewnością użyłem do syta.

A jednak zaręczyć mogę, iż tylko wspomnienia naszych polskich łowów, tych, o których w tym poemacie wzmiankowałem, są owym skarbem, który do dna zapełnić może i nasycić zupełnie duszę myśliwca. Wszystko się zmienia na tym świecie — przeciw prądowi płynąć nie można, bo kto przeciw prądowi płynie, ten od prądu zginąć musi. O tem wiedział i ś. p. Kazimierz Wodzicki i on pierwszy potrafił się poddać konieczności. Jak niegdyś klasycyzm, czując niemożliwą walkę z romantyzmem ukląkł i broń złożył, widząc jego wszechpotężną władzę, tak dziś dawna potęga polskiego łowiectwa upadła przed nową, praktyczną giermańską ideą, która w całym kraju naszym włada.

Wszystko u nas w ostatnich czasach tak nadzwyczajnym podległo zmianom, iż nie trzeba na to być jeszcze zgrzybiałym starcem, ażeby, wróciwszy pamięcią w swoje lata młode, tak wielkiej w każdym względzie dopatrzeć różnicy w pojęciach, obyczajach, otaczającem nas życiu, iż zdawać się może śmiało, że się od swej młodości parę wieków, parę okresów dziejowych przeżyło. Tyczy się to i myślliwstwa. W ostatnich czasach przeobraziło się ono zupełnie na swą korzyść - nie przeczę. Zwierzostan wzmógł się znacznie w kraju naszym i wskutek tego o tak świetnych łowach (co do ilości zabitej zwierzyny), jak o tem już teraz słyszymy codziennie, przed laty nie mieliśmy wyobrażenia. Za młodych lat moich, gdy o żadnej ustawie łowieckiej nie słyszano, a ochrona zwierzyny rzadko przestrzeganą była, polowaliśmy z gończakami i ogarami w kniejach, a ubitych parę lisów i kilka zajęcy za świetny uważano rezultat. O sarnach w większej części kraju, a mianowicie na Podolu, nikt nie słyszał. Ale wówczas o myśliwstwie inne były pojęcia. Wówczas tych kilka sztuk ubitej zwierzyny, zabawiało do syta całe łowieckie grono i z nas każdy, podbiegłszy przed psami i ubiwszy szaraka, był szczęśliwym tem wewnętrznem przekonaniem, że go sam swoim sprytem zdobył i czuł się myśliwym. O ileż mi stokroć większą przyjemność podówczas ten jeden zając sprawił, niż te tuziny, które dziś na naszych wielkich łowach z obowiązku strzelam.

Przy dzisiejszych łowach, na których zające setkami giną i jako towar kupiecki przez właściciela polowania uważane bywają — strzelec przestaje być myśliwym, jest poniejako strzelającem narzędziem, robotnikiem najętym przez gospodarza łowów lub myśliwskiego Towarzystwa, którego jest członkiem, robotnikiem, który swą zapłatę otrzyma przeważnie w postaci dobrego objadu po polowaniu i w tem tylko wyżej stoi nad innymi robotnikami, że nigdy bezrobocia nie ogłosi.

Przy dzisiejszych naszych stosunkach ekonomicznych taki system jest koniecznym, byłoby szaleństwem przeciw niemu powstawać — praktyczność i realizm przedewszystkiem, to są *signa temporis* i niech każdy przed nimi uchyli czoła. To jest koniecznem w dzisiejszych czasach i pożytecznem zarazem.

Dzięki temu przeobrażeniu myśliwstwa, widzimy dziś w kraju całym niezwykły przyrost zwierzyny wszelkiej, z wyjątkiem wodnej i błotnej, gdyż ta w skutek osuszań ciągłych błót i stawów, oczywiście w innych, mniej cywilizowanych stronach, siedzibę sobie obrać musiała. Bo ci nasi cywilizatorowie:

...„Rowy kopią i bagna wszystkie osuszają,
Kszyki nam wypłoszyli — a siana nie mają“.

W kniejach podolskich, w których za młodu polowałem z gończemi psami i gdzie zaledwie dziennie po kilka padało zajęcy, dziś roją się sarny i dzik się zdarza, a zające giną setkami. Stan sarn w kraju całym osobliwie od zaprowadzenia ustawy łowieckiej do imponujących doszedł rezultatów.

Nie mogę też pominąć jeleni. Od lat przeszło trzydziestu przebiegałem nasze góry i widziałem, do jakiej rzadkości tam jeleń należał. W ostatnich czasach się to zmieniło, mianowicie, odkąd zarządy kameralnych lasów energicznej i sprężystej podległy kontroli. Czyja w tym kierunku pierwszorzędna zasługa? Nie wiem czy mi wypada z narażeniem cudzej skromności rzecz wymienić. Mojem jest przekonaniem, że główną zasługę położyli szczęśliwie po sobie dobrani ostatni dyrektorowie domen kameralnych, a przedewszystkiem dzisiejszy dyrektor pan Glanz, który jako energiczny i sprężysty wykonawca wszelkich zadań, tyczących się jego zawodu, także gałąź myśliwstwa miał na oku i zagładzie przeznaczony ród jeleni w górach naszych swoją otoczył opieką. Rezultaty polowań w kameralnym rewirze Jasień, dzierżawionym przez ś. p. Artura Potockiego, kilkakrotnie podawane w „Łowcu“, są tego najlepszym dowodem. Przyznaję więc, że w kraju naszym myśliwstwo olbrzymie ekonomiczne zrobiło postępy, że się zwierzostan podniósł niezmiernie, ale to jedno śmiem postawić pytanie: czy dzisiejszy sposób polowania jest poezyą myśliwską?

Na to niech odpowie duch ś. p. Kazimierza Wodzickiego. Ś. p. Kazimierz był zawsze człowiekiem postępowym, a trzymając ciągle na swej piersi krzyż świętej wiary przodków swoich, czuł dobrze, iż z tym krzyżem na piersi trzeba iść naprzód za postępem i tą drogą szedł zawsze.

Jako myśliwego na tej drodze spotykałem go zawsze, i my dwaj w ostatnich czasach na polowaniach u naszych dobrych znajomych i przyjaciół staliśmy wiernie w postaci

owych zwykłych strzelaczy i na takich polowaniach bawiliśmy się nieraz wybornie — ale i wtedy myśl nasza goniła ciągle ku wspomnieniom dawnym, ku innym łowom, ku łowom z ogarami na grubego zwierza, ku owym koczowiskom w górach, w szałasach i kolebach i ku owym dawnym towarzyszom broni, jakby ze stali kutym myśliwym, którzy się już prawie wszyscy w grobach pokładli. A szereg ich jest liczny, wymienię tylko: Aleksandra Dzieduszyckiego, Ludwika Steckiego, Pułkownika Fargasa, Wacława Hudetza, Aleksandra Borkowskiego i wielu innych.

Ogromne obszary borów, przeważnie w dawnym obwodzie stryjskim położonych, a przez nasze Towarzystwo dzierżawionych, były polem naszych popisów. Były to jeszcze czasy przedkolejowe i wyprawa taka aż do miejsca oznaczonego zboru wyglądała na pochód bardzo oryginalny i przypominający pochody błędnych rycerzy średniowiecznych. Wozy wyładowane różnym prowiantem, na których wierzchołkach siedzieli dojeżdżacze z psiarnią, z tyłu kroczyły wierzchowce w rynsztunkach. Z rozmaitych stron kraju takie tabory, w jesieni lub w początkach zimy, ciągnęły ku stryjskim borom, ku kniejom Mikołajowa, Bilcza, Synowódzka, Polanicy, Turzy i Rachini, a wielkim hetmanem wyprawy był Kazimierz Wodzicki. Warto było widzieć ten imponujący myśliwski rygor i porządek, a oraz tę serdeczną harmonię, tego ducha koleżeństwa, panującego w tych szeregach.

Chociaż pierwszorzędny myśliwy, ś. p. Kazimierz nigdy nie słynął jako zbyt celny strzelec, z wyjątkiem słonek, do których był mistrzem — do innej zaś zwierzyny strzelał zaledwo miernie, a już najsłabiej kulami. Głównym tego powodem było to, zdaje mi się, iż nigdy używać nie chciał sztućca a pod względem doboru broni miał nieszczęśliwą rękę. Strzelał ze strzelb, oczywiście jeszcze kapslowych, z fabryki jakiegoś Benesza, miał do tych strzelb wielkie zaufanie i lubił prawić o ich cnotach — ale my — jego towarzysze, nigdyśmy się tych ich cnót dopatrzeć nie mogli. Stąd to pochodziły te częste jego przygody z rozdrażnionymi przez psy dzikami, gdyż zaprzeczyć się nie da, iż takie polowanie połączone jest z pewnem niebezpieczeństwem. Ale i w tem może główny jego urok.

Było to w miesiącu grudniu. Lat temu już wiele. Zjechaliśmy się w rewirze Mikołajowskim, któryśmy dzierżawili od fundacyi Skarbkowskiej. Szron silny zastępował doskonale ponowę i otropiono w rewirze Stulsko duże stado dzików, do którego się przyłączył spory odyniec. Psiarnia nasza, idąc w ślad znakomitego tropowca Zagraja, który całą tę czeredę zaraz oszczekał w barłogu, nie leniwo poszła do ataku i po chwili rozpoczął się gon prześliczny.

My zrazu rozstawieni na linii, przekonawszy się, że psiarnia w przeciwną stronę zwierza pognała, dopadliśmy naszych wierzchowców i pomimo parowów i najtrudniejszego terenu, puściliśmy się cwałem na oślep, by na własną rękę gierylasówkę rozpocząć. Ja z Aleksandrem Borkowskim znajdowałem się na lewem skrzydle, inni towarzysze na przeciwnej stronie już nie zdołali zdążyć na czas na plac boju. Stary Zagraj z dowodną suczką Lutnią od stadka zaraz odbił odyńca, reszta psiarni za stadkiem pogoniła.

Wodzicki na kasztanowatym swoim wierzchowcu „Rudziku“, sam się puścił za odyńcem. Rudzik był to koń o stalowych nogach, ale trudny do jeżdżenia, tylko w r kach tak wytrawnego jeźdźca użytecznym mógł być na polowaniu. Ja miałem szpakowatego konia „Birkuta“ ze stada Izydorowieckiego. Długie lata mi dzielnie służył na polowaniach, był bardzo łagodny, niezwykłej wytrzymałości i tak namiętnie sam polubił polowanie, że skoro tylko gon psów usłyszał — to czułem drżenie w całem jego ciele. Puściwszy się wraz z Borkowskim za stadem, dognałem je w pół godziny może na młodym zrębie. Śliczny był widok ostanowionej tej masy dzików, do koła obskoczonej przez psiarnię. Mój poczciwy Birkut, roznamiętniony także, bez najmniejszego oporu zaniósł mnie szczęśliwie w sam środek czeredy — tak zajętej psami, iż na jeźdźca i konia nie zwracała wcale uwagi. W tych warunkach dubleta na kilka kroków trudnością nie była, zwłaszcza, że Birkut jak mur spokojnie stał do strzału. Nadleciał wnet i Borkowski na swej klaczy skarogniadej, ale do strzału zeskoczył. Więc druga dubleta, a jeszcze jednego warchlaka, przez psy trzymanego, skłuł kordelasem.

Pięć zabitych dzików oddaliśmy dojeżdżaczowi, który wkrótce nadbiegł, a sami gotowaliśmy się do dalszej pogoni za resztą dzików. — Wtem w dali usłyszeliśmy wołanie: „Hop tu!... Hop tu!“... które przed chwilą były poprzedziły cztery strzały. „To głos Wodzickiego!“ zawołał Borkowski. Więc zaniechaliśmy dalszej pogoni, i cwałem puściliśmy się w tę stronę. Wprost spuściłem się przez bardzo stromy parów, który Borkowski o kilkadziesiąt kroków dalej szczęśliwie objechał — mój koń upadł i dość silnie przygniótł mi lewą nogę. Przy tej sposobności wypadł mi z pochwy kordelas i dziś jeszcze prawdopodobnie w tym niedostępnym parowie leży. Ta przygoda znacznie dalszą moją jazdę opóźniła. Usłyszałem potem strzał i wszystko ucichło. Widzem więc tego ciekawego widowiska nie byłem i opis musiał mi wystarczyć.

Rzecz tak się miała: Wodzicki, dojechawszy odyńca, którego ostanowił Zagraj z Lutnią — strzelił dwa razy z niesfornego swego Rudzika, i z niesforniejszej jeszcze Beneszówki. Kule trafiły niefortunnie — jedna w szynkę, druga koło prawej racicy. Raniony dzik pomknął, lecz wnet go psy znowu ostanowiły. — Myśliwy, chcąc uniknąć dalszych zajść z Rudzikiem, zeskoczył z niego i puścił go wolno; z czego mądry koń wnet skorzystał i uciekł do naszego taboru. Kazimierz, nabiwszy Beneszówkę, podszedł odyńca na kilkanaście kroków. Obie kule i teraz nie dopisały, nie zadawszy śmiertelnej rany, i do wściekłości tylko doprowadziły i tak już do najwyższego stopnia rozdrażnionego zwierza. Atak odyńca na rozbrojonego myśliwca był nieuniknionym nic innego nie pozostało jak uchwycić się gałęzi, rosnącej tuż obok brzózki i skokiem na jej konar od niechybnej katastrofy się uchronić. — To się udało — ale cóż, kiedy owa brzózka była małoletnią i pod ciężarem Kazimierza ku ziemi uginać się zaczęła, a pod nią stał rozjuszony odyniec i kłami kołyszącego się myśliwego dostać próbował. Przeszkadzał mu w tem tylko wierny Zagraj, który darł zapamiętale szczecinę na swym odwiecznym wrogu — bo biedna Lutnia już pierwej ciężką odniosła ranę i niezdolną była do dalszej walki. Taki to obraz przedstawił się oczom Borkowskiego, gdy na pole bitwy nadjechał. Celny strzał jego wszystkiemu koniec położył. Gdy i ja z kolei nadjechałem, wszystko było skończone i ujrzałem Wodzickiego, jak obok zwłok olbrzymiego odyńca, na którym jak tryumfator siedział Zagraj i raniona Lutnia, zbierał na pobojowisku różne podczas walki zagubione przedmioty — jakoto: czapkę, rękawiczki, cygarnicę i Beneszówkę. W krótce nadciągnęła i reszta towarzyszy i przyprowadzono dezertera Rudzika. Z humorem jemu tylko właściwym opowiedział nam Kazimierz swoją ciekawą przygodę, a zażywszy tabaczki zakończył: „Rzecz dziwna! Od trzydziestu lat ża-

dnych gimnastycznych nie odbywałem ćwiczeń. Sądziłem, iżbym dziś nigdy nie potrafił po drabinie wyleść na pierwsze piętro kamienicy. Jakim ja sposobem dostałem się tak łatwo na sam wierzchołek tak cienkiej brzozy?“...

Ten dzień myśliwski, dla nas wszystkich uczestników, na długo był pamiętnym, bo i rezultat łowów był świetny, a zakończył go bardzo tragi-komiczny epilog. Wieczór, po skończonych łowach, gdy sześć dzików złożono na furgonie, gdy strąbiono daleko za dzikami zagonioną psiarnię, gdy opatrzono rannych, odszukano zbiegów, całe grono myśliwskie w najlepszym humorze, powracało już dobrze o zmroku do miasteczka Mikołajowa, gdzie się rozłożył nasz tabor i gdzie nas oczekiwał posiłek i nocleg. — Cudowny był to wieczór jesienny — niebo pogodne zapowiadało lekki przymrozek, a księżyc w pełni czarodziejskie światło rzucał na gałęzie, uginające się pod ciężarem szronu śród tych malowniczych borów, które nas otaczały. Myśliwi jechali konno, a dojeżdżacze prowadzili na drążkach i łańcuchach ogary i kundysy, które kroczyły dumnie jak żołnierze po odniesionem zwycięstwie. Z tyłu jechał furgon naładowany dzisiejszą łowiecką zdobyczą. Wesoło było w myśliwskiem gronie, opowiadania, gawędy i śmiechy, czasem uleciała z piersi jakaś piosnka, może nie zawsze nadająca się czysto do salonowego śpiewu, ale śród lasu po udanem polowaniu i to ujdzie!

Tak jechalismy gościńcem wiodącym ze Stulska do Mikołajowa. Mówią, że gdy się człowiek czuje wesołym i szczęśliwym, to zwykle pragnąłby ten błogi stan duszy swojej i na drugich przelać. Jest to niezawodnie jedna z dodatnich stron ludzkiej natury. Otóż jeden z towarzyszy, widocznie pod wpływem tego dodatniego usposobienia, odezwał się: „Nam dziś tak wesoło, dla czegoż te biedne pieski, które nam się tak dobrze zasłużyły, nie mają także nieco użyć swobody i mają iść na drążkach i łańcuchach, jak nędzne niewolniki? Puśćmy je wolno — wszak to już noc — i nikogo na drodze nie spotkamy“. Wniosek ten przez aklamacyę przyjętym został. Nasz hetman tylko i Aleksander Dzieduszycki, jako z nas wszystkich najdoświadczeńsi, zrazu się temu sprzeciwili, przedstawiając możliwość niebezpieczeństwa, ale ulegli wreszcie prośbom, i wszystkie psy, z drążków i łańcuchów uwolnione, zaczęły radośnie, w szalonych pląsach skakać około naszych koni.

W lesie gościniec zakręcał na lewo. Czyliż to nie jest istny fatalizm, że grono jakichś kolonistów Szwabów zawiązało się było w towarzystwo, tak jak my, i nie dzikie, ale swojskie świnki w tym dniu wypolowało we wsiach okolicznych u chłopów, i ten transport przeważnie białych dzików pędziło gdzieś na jarmark, o tak późnej godzinie, tym właśnie gościńcem, którym my powracaliśmy z łowów? Czyliż to nie jest istny fatalizm, że tę trzodę, pędzoną przez kolonistów, spotkał właśnie na tym zakręcie gościńca nasz oddział myśliwski, w chwili tak niezwykłej, w chwili, gdy się dyscyplina łowiecka do pewnego stopnia rozluzowała, i gdy nawet hetmańska buława wyjątkowo była uległa prośbom pospolitego ruszenia? Psiarnia, w ciągu dnia rozjedzona na dzikach, spostrzegłszy przed sobą dobrze znanego wroga o tych samych kształtach, chociaż innej barwy, zaraz rzuciła się cała z szalonym zapałem. W jednej chwili zwarły się szyki. „Harap!... Nazad!...“ zagrzmiały głosy nasze i dojeżdżaczy, ale to były głosy wołających na puszczy; każdy z ogarów i kundysów już w zębach swoich trzymał jakąś ofiarę. *O! Herr Gott!* rozlegał się okrzyk przerażenia w przeciwnym obozie. *Was ist das?.. Was ist das?...* I tu nastąpiło zamieszanie, o jakiem chyba Leonidas pod Termopilami mógł mieć jakieś wyobrażenie. Do giermańskiego obozu należące świnki, zaczęły się z trwogą tłoczyć pod nasze konie, ale nareszcie obok tej trwogi i wściekły gniew zaczął je także ogarniać; każdy z nas pod swym koniem miał po chwili pojedynek między świnką a ogarem, a interwencya wszelka była niemożliwą. Do rozpaczy doprowadzone świnki zaczęły się rzucać na nasze konie. Niemcy krzyczeli w niebogłosy i nie zważali na nasze uspakajające zapewnienia. Zdawało się, że to już pierwsza przygrywka do tej walki, która się w przyszłości gotuje między giermańskim a słowiańskim żywiołem. Część tej falangi przez nieprzyjaciela naparta wpadła na Hudetza, i wraz z koniem powaliła go na ziemię. Pułkownik Fargas, choć zawsze łagodny jak gołąbek, nagle do koła obskoczony, już zaczął przeklinać po węgiersku, i na prawo i na lewo płazować kordelasem. „Harap! Zagraj! Nie rusz Mrówka! Puszczaj Rozbój! Do nogi... Tambor! krzyczeli na całe gardło dojeżdżacze, i na oślep ćwicząc harapami, w zapale bezwiednie rozdzielali razy między psy, świnki i kolonistów. Mój Birkut, do takiej walki nieprzywykły, wymówił mi nareszcie posłuszeństwa, i ukąszony w nogę przez jakąś świnkę, a może przez któregoś ogara, uniósł mnie na bok, i z niemałym trudem udało mi się przyprowadzić go do opamiętania. Gdy znów powróciłem na pole walki, zastałem już tylko pobojowisko: nasza armia świetny tryumf odniosła: byliśmy zwycięzcami. Na pobojowisku leżało 5 trupów armii nieprzyjacielskiej, nie licząc wielkiej ilości rannych, ale to zwycięstwo kosztowało nas o wiele drożej niż zwycięstwa wojsk niemieckich nad francuskimi, tam bowiem zwyciężeni zapłacili 5 miliardów, gdy zaś tu, my zwycięscy — na mocy dobrowolnej ugody zawartej ze zwyciężonymi przez naszego hetmana, — zapłacić musieliśmy pewną kwotę, nie idącą w miliardy, ale z czego obie strony okazały się zupełnie zadowolonymi. A przecież szeregi giermańskie wielką w tej walce poniosły klęskę; ich wódz, kolonista, stanął w obronie jakiejś swej ulubionej świnki do walki z tropowcem Zagrajem, którego potem przed naszym hetmanem wyjątkowo oskarżał: *Wenn nur nicht dieser verfluchte Hund da gewesen waere.* W istocie dojeżdżacz Michańko opowiadał nam później, jak odpędzał Zagraja od tego kolonisty, który, upadłszy na ziemię, bronił jeszcze tej swojej ulubionej świnki, a rozłoszczone psisko, kąsając na prawo i na lewo, nie umiało już rozróżnić szczeciny od surduta i spodni tego niemca.

Na tem się skończyły przygody tego dnia, który każdy z uczestników z pewnością na długo w swej pamięci zachował. Czyż w tak oryginalne i zabawne epizody dzisiejsze polowania tak obfitują, jak obfitowały te nasze dawne łowy?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



MARCINEK.

Na tle cudzych i swoich wspomnień

skreślił

ALEKSANDER UBYSZ.

(Dokończenie.)

Życie nasze szło trybem zwyczajnym. Jak zwykle odbywałam lekcye gry na klawikorcie, francuzczyzny i t. p. nauk z p. Krętkowską, osobą bardzo wykształconą, od kilku lat moją nauczycielką.

Wtem zaszedł znowu ważniejszy epizod w mem życiu. Nigdy nie zapomnę tej chwili.

Mieliśmy jechać w odwiedziny, niestety do szambelaństwa. Ja dotąd ubierałam się w wygodne, jakkolwiek dobrze uwydatniające moję kibić suknie, staropolskiego kroju. Naraz, matka moja każe mi wdziewać błękitną atłasową sukienkę francuskiego kroju. Sukienka była prześliczna, lecz — po wdzianiu, a w dodatku opasaniu różową wstążką, jak była potenczas moda, poniżej stanika, który był prawie pod pachami — istna tortura! Wstążka owa ukrywała wewnątrz obręcz z cieńkiej stali, która, mocno spięta, podwyższać miała cieńkość ciała.

Płakałam — nic nie pomogło — matka moja, tak czuła na najlżejsze moje cierpienie, tym razem okazała się nieczułą.

Ojciec mój, strój ukończywszy, wszedł do pokoju, w którym się znajdowałam.

— A to co za strój cudacki? i czemuś tak pobladła — mówi do mnie.

— Bo mnie ten pasek stalowy tak mocno ugniata, że omal nie zemdleję.

— Zrzuć mi to natychmiast!

— Mama się będzie gniewać.

— To ją przeprosimy. — Rzekłszy to, rozerwał spięcie paska i uwolnił mnie od tych mąk. Potem coś z matką rozmawiali, i w rezultacie nie pojechaliśmy do szambelaństwa. Jakże się z tego cieszyłam!

Miałam swój zwierzyńczyk, w którym oprócz niektórych dzikich zwierząt oswojonych, chowałam pawie, kureczki wszelkiego gatunku i — gołębie.

Pewnego zimowego dnia, gdy ojciec był przy gospodarstwie, jastrząb, który mi znaczne wyrządzał szkody w kurach i gołębiach, począł krążyć wysoko ponad zwierzyńczykiem. On tu nie nadarmo — pomyślałam — znowu mi coś porwie. A gdyby go tak zastrzelić? Od myśli do czynu nie daleko; szybko pobiegłam do pokoju ojca, gdzie zawsze kilka strzelb wisiało, a wybrawszy najlżejszą, nabiłam ją i wybiegam. Najwyższy był czas. Już! już! jastrząb miał pochwycić mego najulubieńszego gołąbka. Wymierzyłam, wystrzeliłam i jastrząb padł nieżywy w środku zwierzyńczyka.

Zaledwo strzelbę na miejscu powiesiłam, wchodzi mój ojciec.

— Kto tu strzelił?

— Ja proszę tatka — odrzekłam zalękniona.

— Dziewczyno, dziewczyno, co też ty wyrabiasz! Jeszcze z dymem nas puścisz. Do czegoś strzelała? Pewno na wiatr lub do furtki?

— Nie, do jastrzębia... i ubiłam.

— Ubiłaś? Siedział na drzewie?

— Nie, pędził nad moim gołąbkiem.

— Więc w lot?

Poszłam i przyniosłam zdobycz myśliwską.

— Dziewczyno — zawołał ojciec, nie zdołając ukryć swego zadowolenia — Nie mam syna, więc ty widzę mi go zastąpisz, boś nieodrodna krew moja. Strzelaj sobie do wróbli, wron i jastrzębi ile ci się podoba. Jednakowoż przykażę Strzępie. żeby zawsze był przytem obecny. Pamiętaj jednak nie oddawać się zbytniej namiętności polowania, bo to gubi mężczyznę, a niestosowne dla kobiety.

Od owej pory codziennie w towarzystwie Strzępy strzelałam do wszystkiego, co się nawinęło. Wyborny ten myśliwy nie dał mi do większego ptaka strzelać tylko w lot. Początkowo często chybiałam, po kilku jednak miesiącach, jastrzębie, wrony i sroki padały prawie zawsze.

Matka ręce łamała z rozpaczy na to moje myśliwstwo.

— Mężu, zlituj się, co ty chcesz zrobić z naszej Reginki? Co świat na to jej awanturowanie się powie?

— Świat? Alež jemu obojętne, czy córkę moją wychowam na laleczkę, czy na pełną zdrowia kobietę. Dziewczęciu przy nas starych się nudzi, w sąsiedztwie nie ma dla niej dziewcząt stosownych jej wiekowi.

— A podsędkówny?

— Co? Taż to już wiekiem bardzo dojrzałe panny. Że na oko młodziej wyglądają, wina to wychowania. Obie, Leonilda i Laura, wątłe, wybladłe, na suchotnice wyglądają. I jakże inaczej wyglądaćby miały, skoro je czuła mama wiecznie w pokoju zamknięte trzyma. Toż lekarz nie wychodzi z domu. Kto weźmie taką plantę w cieplarni wychowaną? Pan? wątpię, a dla szlachcica to istna zawada — za drogi i wątły sprzęcik, w dodatku bezposażny. Inną naszę Reginkę widzieć pragnę. Niech będzie silna ciałem, to i dusza słabą nie będzie. Myśmy nie młodzi, nuż na nią padnie wczesne sieroctwo? Co pocznie wątła i trwożliwa dzieweczka? Stanie się ofiarą złych ludzi. Od dziś pocznę ją powoli obznajamiać z tokiem interesów.

Do wiosny strzelałam zdaniem Strzępy wcale dobrze. Lody na stawie puściły, więc zaproponował Strzępa, abyśmy poszli nad brzegi stawu na ranny ciąg kaczek. Matka moja musiała się pogodzić z pozwoleniem ojca, postawiła wszakże jeden warunek. Na to polowanie miała mi towarzyszyć nauczycielka moja Krętowska. Proszę sobie wyobrazić: ja ze strzelbą, a duenna moja z pończochą, którą zawzięcie robiła. Podchodzimy pod staw. W grzęskim gruncie zgubiła Krętowska jeden trzewik. Lament, narzekanie. Ledwie co Strzępa odnalazł. Nie szła już dalej, tylko niby stara czapla, kroczyła wzdłuż grobli.

W jesieni, zawsze ze Strzępą i Krętowską z jej pończochą, polowałam w gajach na zające, do czego Strzępa ułożył był sukę gończą, „Drumlę“, która dlatego tak się nazywała, że goniła drżącym głosem.

I wśród takich to zabaw, niby sen, ubiegło mi trzy lata. Ojciec, z którym codziennie w pole jeździłam, uczył mnie gospodarstwa rolnego. Dobrze już wiedziałam, jak się pod każdy gatunek zboża rolę uprawia i ile na morg wysiewa. Jakby przeczuwał, biedny mój ojciec, że wkrótce mię osieroci

Straszna dla nas chwila, śmierć jego, po niedługiej nastąpiła chorobie. Biedną matkę moją cios ten złamał. I dla mnie był strasznym.

Po pogrzebie, najbliżsi sąsiedzi, w mojej obecności, przeglądając pozostałe po ojcu papiery, odnaleźli spory opieczętowany pakiet z napisem: „Testament“. Sprawy majątkowe w jak największym pozostawił porządku, opiekunem moim mieniąc owego Stolnikiewicza, z którym, poznawszy prawy jego charakter, serdecznie się był zaprzyjaźnił.

Wszyscy się rozjechali — a my, ze złamaną matką, poczęłyśmy ciche i smutne życie wdowie. Matką długi czas, niby dziecięciem, opiekować się musiałam Cały czas ciężkiej żałoby, t. j. pełny rok, ani razu nie polowałam, bojąc się popełnić rodzaj świętokradztwa. W końcu i żałoba przeminęła, a ja, jak ongi, w towarzystwie wiernego Strzępy, ale już bez Krętowskiej, kiedy niekiedy, gdy czas na to pozwolił, (bo musiałam nadzorować gospodarstwa), poczęłam polować po gajach. Z matką, której boleść się złagodziła, poczęłyśmy odwidzać sąsiadów. Nadeszły zapusty. Proszono nas tam i owdzie na taneczną zabawę; ma się rozumieć, pojechałyśmy.

Miałam być nieszpetna, w dodatku posażna i jedynaczka, toż mnóstwo kręciło się koło mnie młodzieży. Cóż, kiedy żaden nie podobał mi się prawdziwie.

Aż na kuligu w domu państwa M... zjawił się niebieskooki blondyn. Pochodził z Krakowskiego, a od roku trzymał jednę wieś szambelana w dzierżawie. Bardzo pięknym nie był, lecz nader ujmującej powierzchowności. Podobał mi się bardzo. Cały kulig matka moja w dom nasz zaprosiła, toż naprzód tam pojechałyśmy.

Dom nasz był zasobny tak w spiżarni jak i piwnicy. Nawet zwierzyny nie brakło, której Strzępa wraz z leśniczym obficie dostarczali.

Nadeszła oznaczona chwila przybycia kuligu. Wieczór był ciemny, toż całą drogę topolami wysadzoną, która wiodła do dworu, oświetlić kazałam zapalonem smolnem łuczywem. Nareszcie zdala odezwały się odgłosy kapeli, przodem saniami jadącej. Za nią, niemal co koń wyskoczy, pomykało kilkadziesiąt sani, nabitych gośćmi płci obojej, przeważnie w stroje krakowskie przebranej.

Z dźwiękami kapeli i śpiewem weselnym zajechali przed ganek. Obie z matką i opiekunem wyszliśmy na ich przyjęcie. Po oracyi starosty i drużby — a był nim pan Sylwery, Krakowianin — wszyscy przybyli weszli do pokojów, i po niedługiej chwili rozpoczęła się ochocza taneczna zabawa.

Sylwery kierował tańcami, wymyślając prześliczne figury mazurowe. Bawiliśmy się ochoczo. Sylwery, mimo swej drużki. tańczył prawie tylko ze mną. Naraz, czego się wcale nie spodziewałam, niby zły duch, zjawił się przy nas — szambelanic. Wyznam otwarcie, że mnie to przestraszyło.

Szambelanic, swoim zwyczajem, arogancko przerwał mi rozmowę z Sylwerym. Zmierzyli się oczyma — Sylwery groźnie, a szambelanic z cynicznym uśmiechem na swych wązkich, bladych ustach.

— Kto pan jesteś, i czego tu chcesz — zapytał Sylwery?

— Prędzej ja pana o to zapytać mogę — odrzekł — Jestem Ludwik . . . właściciel dóbr w tej okolicy, a w dodatku krewny tej pani.

— A ja Sylwery . . . były porucznik strzelców konnych w armii Napoleona I. cesarza Francyi.

Sylwery, jako kierownik tańcami, opuścić mnie musiał na chwilę. Szambelanic zagadnął mnie niespodzianie:

— A jakże kuzynko z nami będzie?

— Jakto z nami? — odrzekłam, nie rozumiejąc celu słów jego.

— Przecież ś. p. ojciec jej przyrzekł ojcu mojemu rękę twoję

— To nie prawda — zawołałam oburzona. — Ojciec mój nadto dobrze znał dom wasz cały, żeby mógł popełnić krok tak nierozważny.

— Znał dom nasz cały, powiadasz kuzynko?.... Otóż wiedz, że ten dom nasz cały, ja w mojej przedstawiam osobie, gdyż oboje rodzice moi pomarli w Warszawie przed niedawnym czasem. Ja z zagranicy wracam do kraju uporządkować sprawy majątkowe i... poślubić kuzynkę — wycedził jakby z umysłu powoli i z naciskiem.

— Wątpię, żeby to kiedyś nastąpiło — odrzekłam oburzona.

— O uprzątnięcie głównej, jak uważałem, zawady, tego Krakowiaka, postaramy się. Jest on moim dzierżawcą, wyrzucenie go ze wsi, której obecnie jestem właścicielem, znacznie w was obojgu miłosne zapały ostudzi. Gdyby jednak i to nie skutkowało, natenczas ostrze mej szpady reszty dokona.

To powiedziawszy, oddalił się od mego boku, a nawet dom nasz opuścił.

Wyznam otwarcie, że słowa szambelanica bynajmniej mnie nie przestraszyły, wiedziałam bowiem od ojca mojego, że kontrakt dzierżawny, w sądzie „oblatowany“, nie traci mocy swojej nawet ze śmiercią jednej lub drugiej strony. Następcy muszą go dotrzymać. Co się tyczy szpady, którą szambelanic tak pochopnie groził, wiedząc o zajęczem sercu tego krewniaka, nie wiele przykładałam wagi. Sylwery, pomyślałam, oficer wielkiej armii, skoro zdobył rangę oficerską i złoty krzyż zasługi, umie władać bronią. Pewność moją mąciła jednak nieco myśl, że najwięksi tchórze często do artyzmu robienia pewnym gatunkiem broni doprowadziwszy, pewni zwycięstwa, za byle jakie, częstokroć urojone uchybienie swej osobie, wyzywają na pojedynki, z pewnością kata na wyzwanym swój kunszt wykonując. Zdaniem mojem wielkie to szalbierstwo.

Słowa szambelanica zamiast ugasić, rozdmuchały tylko niepewne dotąd uczucia moje dla Sylwerego. „On, lub żaden!“ powiedziałam sobie w duszy.

Kulig w domu naszym był ostatnim tych zapust. Post po gwarnych zapustach, nawet wobec odwiedzin sąsiedzkich, nudnym się wydaje.

Pewnego wieczora we troje, t. j. matka, ja i opiekun, siedzieliśmy gawędząc u kominka. Matka moja, od śmierci ojca straciwszy na humorze, zawsze prawie była smutna i czem raz częściej na zdrowiu zapadała.

— Reginko — przemówiła matka — co będzie z tobą w razie mojej śmierci? Możebyś pomyślała o zamążpójściu?

— W tej mierze — odrzekł mój zacny opiekun — rodzice niektórych zacny h kawalerów bliższej i dalszej okolicy czynili mi zapytania, czy ich synowie mogliby bywać w domu pani sędziny, w zamiarze starania się o rękę jej córki.

— Nikomu droga nie zamknięta — odrzekłam.

— Cóż — dodawali niektórzy — kiedy panna sędzianka obojętnie przyjmuje strzeliste wyrażenia się tego lub owego.

Wobec takich wynurzań musiałam i ja zdobyć się na odpowiedź.

— Kiedy żaden z owych mi się nie podobał — rzekłam.

— A Sylwery krakowianin? — rzucił opiekun z jowialnym uśmiechem.

Czułam, że na te słowa krew uderzyła mi do głowy.

— Ot, mamy prawdziwego, sędzino dobrodziejko. Pan Sylwery z wszechmiar zacny kawaler, statek, pilny gospodarz. Jednem słowem uważam go za dziarskiego kawalera. Niedawno temu był u mnie; wprawdzie nie objawił wyraźnie zamysłów swoich względem Reginki, ale „mądrej głowie dość dwie słowie“. Nie bez kozery bowiem opowiedział całe swoje *curriculum vitae*, aż do szczegółu, jak to będąc dwudziestoletnim młodzieńcem, odebrawszy błogosławieństwo swego ojca, zaciągnął się w szeregi wielkiej armii Napoleona I. Później został porucznikiem, a w końcu przy rozbijaniu czworoboku, w którego środek pierwszy skoczył, przyczem piechur pruski pchnął go w ramię bagnetem, otrzymał krzyż legii honorowej. Skutkiem tej rany stał się do dalszej służby wojskowej niezdolny. Po półrocznej kuracyi wręczono mu list odstawny, z wymienieniem chlubnego zachowania w czasie kampanii.

Do kraju wróciwszy, nie zastał już ojca przy życiu. Zacni sąsiedzi, sprzedawszy co pozostało, uzbieranych 4000 dukatów w sądzie krakowskim deponowali. Pan Sylwery z tym kapitałem ruszył w świat, i aż do nas zabłądziwszy, wziął w dzierżawę j. ną wieś szambelana.

Usłyszawszy tak chlubne rzeczy o Sylwerym, serce moje zabiło rozkoszą, że wybór mój był tak trafnym. W istocie, opiekun się nie mylił. Sylwery czem raz częściej począł nas odwiedzać. Oświadczył się, i tak przez matkę jak i przezemnie został przyjęty.

Ślub oznaczono na miesiąc lipiec. Biedna matka, czując się czem raz słabszą, przyspieszyła dzień ślubu.

Sylwery wiedział o tem, że niekiedy lubię zapolować, a nie gorszył się tem jak wielu innych, którym szambelanic cudactw o mnie nagadał, twierdząc, że o niczem innem nie myślę, tylko o uganianiu po lasach i dodając przeróżne komentarze, będące niejako następstwem dzikiego życia.

Miesiąc kwiecień, ciąg słonek, i to obfity, na dobre się rozpoczął. Pewnego wieczora począł mnie wierny Strzępa namawiać, żebyśmy we dwoje poszli na ciąg wieczorny. Nie byłam od tego i poszliśmy w gaj brzozowy, zwany „Przełaje“. Środkiem gaju ciągnęła się łączka i mnóstwo było ścieżynek stopą ludzką wydeptanych. Miejsce, jakby stworzone do ciągu słonek. Ja stanęłam na kraju zarośli, by strzelać, gdy która nadciągnie. Strzępa z wyżłem zagłębił się w gaj nieco, bo pora jeszcze na ciąg czyli odlot słonek za wczesną była, więc ptaki te, w gąszczy siedząc, wyszukiwały robaczki po ścieżkach lub mchach i liściach opadłych. Wyżeł, buszując po lesie, płoszyć miał słonki, a my do poderwanych strzelać zamyślaliśmy.

Śledząc oczyma, czy nie leci gdzie słonka, nie widziałam, co się po za mną dzieje. Naraz usłyszałam kroki jakieś. Patrzę, a tu szambelanic wprost kroczy na mnie, a zdala za nim postępowało trzech mężczyzn, snać jego towarzyszy. Czego on tu chce? — pomyślałam z drżeniem, bo zjawienie się jego nic dobrego nie wróżyło. On, przystąpiwszy bliżej ku mnie, w te odezwał się słowa:

— Sędzianko, jakkolwiek wręcz odmówiłaś mi ręki swojej, nie daję za wygraną i zmuszę cię, że będziesz moją.

Gwałtownym ruchem obu rąk chciał mię pochwycić. Umknęłam, robiąc skok w tył i mierząc z dubeltówki w piersi jego, zawołałam:

— Precz niecny, ani kroku bliżej, bo strzelę!

Zawahał się nikczemnik na te słowa, oglądając się za swymi godnymi towarzyszami, którzy się wcale z pomocą przybyć nie spieszyli.

Już miałam zawołać na Strzępę, lecz on usłyszał snać głośną naszą rozmowę i co tchu nadbiegł, a ujrzawszy szambelanica, bez namysłu porwał go za kołnierz papuziego fraka i jednem szarpnięciem na ziemię go powalił. Wtedy jedną nogą kark mu przygniótłszy, odwiązał od torby gruby harap, którym karcił krnąbrnego wyżła i rozpoczął przemowę:

— A ty taki, owaki, napadasz panny uczciwego domu? Ja ci zapłacę za despekt, który uczynić chciałeś, *ut sum eques* nie daruję — i począł spuszczać gęste razy na leżące ciało szambelanica. Godni towarzysze jego, zobaczywszy w jakich opałach znajdował się ich przyjaciel, co tchu uciekli.

Szambelanic po egzekucyi ku domowi swemu pieszo pociągnął, bo towarzysze jego dla przyspieszenia salwacyi własnych osób, końmi, które ich przywiozły, jak najspieszniej ujechali.

Mimo hartu duszy i ciała, przejście to m cno mnie wzruszyło. Wsparta na ramieniu starego sługi ruszyłam ku domowi. Umówiliśmy się, o całem tem zajściu przed nikim, nawet przed narzeczonym nie wspominać. A że szambelanic w tajemnicy je zachowa, byłam pewna.

Po niejakim czasie, osobliwie gdy cały majątek szambelanica komornik sądowy wierzycielom w posiadanie oddał, wyjechał szambelanic, jak mówiono, za granicę i słych o nim zaginął.

W parę miesięcy po mojem zamążpójściu, anioł żałoby przeleciał po nad naszą strzechą. Biedna matka moja połączyła się z swym mężem a ojcem moim.

I znowu na długi czas przyrządy moje myśliwskie na „kołku“ zawiesiłam

Mąż mój nie lubił myśliwstwa, jednakowoż mnie go nie wzbraniał.

Po kilku latach Sylwery począł zapadać na zdrowiu. Osobliwie przy zmianach powietrza owa rana bagnetem zadana, mocno mu dokuczała. Wzywani co najzdolniejsi lekarze, mimo użycia, jak się wyrazili, radykalnych środków, nie wiele mężowi pomogli.

Pewnego jesiennego dnia, w sam Św. Marcin, śnieżek, który był przedtem ziemię poprószył, stopniał zupełnie, powietrze się ociepliło i zaświtało to krótkotrwałe, jak go lud nazywa „Marcinkowe lato“. Dawno nie byłam na polowaniu, postanowiłam zatem spróbować szczęścia, tem bardziej, że mąż mój lubiał zwierzynę, a ta mi całkowicie wyszła.

Nawinął się leśniczy, więc mu powiadam:

— Weź pan starego „Zagraja“, on goni powolnie, i podłóż go na „Przełaju“ od głównej drogi.

— Ej, proszę WPani, na „Przełaju“ zazwyczaj nic nie ma, bo tamtędy, jak Boży dzień, drogę do miasteczka sobie skracając, chodzą ludzie ścieżynkami, których mnóstwo wydeptali.

Uparłam się mimo słusznej uwagi leśniczego, zapolować w owem miejscu.

Do gaju umówionego nie było z domu nazbyt daleko, lecz że stopniały śnieg rozmiękczył był ziemię, toż kazawszy sobie do mojego jeszcze panieńskiego wózka zaprząc „sroczkę“,

klaczkę srokatą, którą zawsze dalsze myśliwskie robiłam wycieczki, pojechałam ku „Przełajom“.

Mąż mój, który niekiedy, jakkolwiek sam niemyśliwy, na polowania mi towarzyszył, pozostał w domu, w towarzystwie proboszcza, pasyonowanego jak on sam szachisty.

W stosowną porę zajęłam stanowisko, albowiem stary Zagraj począł zgłaszać trop zajęczy, i wnet stary kopyra wyszedł na mnie. Strzeliłam i upadł Oglądam zająca — naraz, gdzieś w pobliżu, zasłyszałam cieniuchny, jęczący głosik jakiś. Coby to być mogło i gdzie się znajduje? — pomyślałam. Oczyma po drzewach szukałam, gdy przeciwnie tuż przy ścieżynce ujrzałam tobołek jakiś leżący, z którego właśnie owo kwilenie wychodziło. Wydawało go kilkutygodniowe może dziecię. Biedactwo, jakże ubogo było powinięte! Od chłodu i wilgoci, przykrycie jakąś starą jubką, skąpo je chroniło. Czy wyrodna matka na chwilę, lub na zawsze dziecię tu poniechała? — pomyślałam patrząc na dziecinę. A ono kwili żałośnie, ziębnięte i głodne. Nie wiele się namyślając, usiadłszy na ziemi, otuliłam dziecinę jubką moją lisami podbitą, i pokarmiłam, bom w domu pozostawiła córeczkę cztero-mieśięczną. Gdy syte i ogrzane usnęło, usiadłam na wózek i do domu wróciłam, zabierając dziecko i ubitego zająca.

Ułożywszy dziecię w moim pokoju, wchodzę do męża i proboszcza, zatopionych nad partyą. Mąż mój, który mię niekiedy Dyaną nazywał, rzecze:

— Cóż to Dyana moja tak rychło z łowów powraca. Czy z sukcesem?

— O, i z wielkim — rzeknę z uśmiechem. — Jeden gatunek kucharz, a drugi ksiądz proboszcz opatrzyć musi. —

To rzekłszy, zaniosłam im znalezione na „Przełaju“ dziecię. Był to czarnowłosy i czarnooki chłopczyna.

— Herezya! — odezwał się proboszcz, używający tego wyrażenia, gdy był oburzony. — Trzeba przez urząd ścigać wyrodną matkę — ja na nią z ambony rzucę „anatema“.

— Usilnie o to upraszam, niech ksiądz proboszcz tego nie czyni. Kto wie, może rozpacz, a może głód tegoroczny zmusił nieszczęśliwą kobietę do tego kroku. My to dziecię przy sobie przytulimy, zwłaszcza, że nam własne się nie chowają — odrzekliśmy z mężem.

— Owoż tedy — rzekł proboszcz — naprzód trzeba chłopczynę ochrzcić, bo Bóg wie, jakiego on pochodzenia.

Trzeciego dnia zawieźliśmy dzieciątko do kościoła. Daliśmy mu imię Marcin, bo na Marcina je znalazłam, a na nazwisko Przełaj — od miejsca, w którem zostało znalezione.

Ze zjawieniem się Marcinka w domu naszym, jakkolwiek nie jestem zabobonną, lepiej nam się wieść poczęło. Przedtem dużo doznawaliśmy niepowodzeń. Dobrze mówi przypowieść: „Sierota w dom, Bóg w dom“.

Pewnego dnia w miesiącu czerwcu, dużą bryką zajechał w dom nasz jegomość jakiś. Przedstawiwszy się jako patron trybunału krakowskiego, zapytał męża mojego, czy nie miał w Krakowie krewnych jakich?

— Mam — odrzekł Sylwery — stryjecznego dziada, lecz to dziwak i od wielu lat z ojcem moim zerwał stosunki.

— Otóż — odrzekł adwokat — starzec ów tej zimy rozstał się ze światem, pozostawiając dwa duże domy w Krakowie i piękną wieś, którą wydzierzawiał. Dziwny to był człowiek. Oba domy sam zajmował. Jedynymi obcymi ludźmi, którzy w skromnym pokoiku na dole się mieścili, był służący z żoną, która im jeść warzyła. Służący ten był rodzajem *factotum* tego dziwnego człowieka. On obliczał się z dzierzawcą, odbierał tenutę pieniężną i wszystkie pozadomowe załatwiał sprawy, bo pan przez lat czterdzieści nietylko na świat nie wychodzi, lecz z nikim obcym, a nawet z własnym sługą się nie widział. Jadło wszelkie wstawiano w rodzaj ruchomej framugi, którą on sobie sam windował. Gdy służący spostrzegł, że pan jego od kilku dni śladów życia po sobie nie daje, dał znać do sądu. Komisya delegowana, przy której i ja byłem obecnym, rozbiwszy drzwi, weszła do środka. Mnóstwo przeszliśmy pokoi, bo oba domy przebiciem ścian były ze sobą połączone. Ściany pełne pyłu i pajęczyn, zapisane były cytatami greckimi, hebrajskimi i jakimiś hieroglifami, których chyba że i sam autor przeczytać nie umiał. Pułap w każdym pokoju zalepiony był gniazdami jaskółek, które powybijanymi w oknach szybami swobodnie do środka wlatywały. Gdzież jednak mieszkanie tego dziwaka, mizantropa, czy pustelnika? Po dość długiem szukaniu natrafiliśmy na jego mieszkanie, prędzej jaskinię. Pierwszy duży pokój zasiany był książkami i rękopismami, w jedną dużą kupę bezładnie ułożonymi. W ciemnej niży, na słomie, odziane w togę starogrecką, leżały zwłoki tego starca. Musiał być słuszny wzrostem, głowę miał najzupełniej łysą, za to poniżej kolan sięgającą, długą, białą brodę. Gotówki bardzo mało pokazał famulus, tak, iż na pogrzeb sąd pieniędzy dodać musiał. Otóż dowiedziawszy się, że żyje krewny owego starca, prawie pół kraju zjechać musiałem, zanim się dowiedziałem, że WPan porucznik tu przebywa. A przyjeżdżam, żeby go do podjęcia spadku namówić.

Mąż mój, jak sam mówił, spadek ten, którego nigdy się nie spodziewał, uważał jakby z nieba spadły.

Adwokat, zebrawszy dowody tożsamości nazwiska, herbu i rodziny, wraz z Sylwerym do Krakowa odjechali.

Po kilku miesiącach sprawę spadkową korzystnie skończywszy, po konsultacyi z całym zastępem luminarzy lekarskich krakowskich, z których każdy z osobna co innego radził, wrócił Sylwery do domu.

Mienia przybyło, lecz niestety i niezdrowia Sylweremu.

Marcinek, skończywszy szkoły, miał lat 15 i był chłopcem nadzwyczaj roztropnym. W domu był istną naszą prawą ręką. Gdy zaś lekarze mężowi memu wyjazd do wód zagranicznych zaordynowali, Marcinek pojechał z nim jako towarzysz. Uważaliśmy go za przyjaciela naszego i zamyślaliśmy nawet, gdyby nam i ostatnie dwie córeczki, jak pierwszych troje pomarły, Marcinka adoptować.

Mąż mój, w kilku latach wszystkie niemal zakłady wodolecznicze zwiedziwszy, czem raz bardziej podupadał na zdrowiu. Okazało się, że w skutek owej rany od bagnetu, dostał choroby piersiowej. Lekarze radzili wyjazd do Włoch. Ja mimo najszczerszej chęci, na głowie całe gospodarstwo i wychowanie córek mając, nie mogłam mu tam towarzyszyć. Marcinek, jak prawdziwy anioł opiekuńczy, aż tam z nim pojechał.

* * *

Na tych słowach pamiętnik się kończy. Epilogu owego wyjazdu porucznika do Włoch łatwo się domyśliłem.

Marcinek, któremu się przyznał młody mój przyjaciel, że niektóre ustępy z babuninego pamiętnika mnie odczytał, zżymał się, a w końcu wymógł na mnie zachowanie w najściślejszej tajemnicy nazwiska osób i miejscowości, co też wiernie dotrzymałem. Udobruchawszy się, sam Marcinek uzupełnił mi niektóre rzeczy z przerwanego pamiętnika, i tak opowiadał:

W początkach listopada, we troje, t. j. porucznik, pani i ja, podczas ślicznej jesiennej pogody, w drogę do Włoch wyruszyliśmy. Pani towarzyszyła nam aż do Krakowa. Myśmy

na szybkowóz się przesiedli, a pani do domu tym samym powozem powróciła.

Nigdy nie zapomnę wyjazdu naszego z domu. Jak wiadomo, dom nasz ze wszech stron gajami otoczony. Środkiem jednego z gajów wiedzie droga w stronę Lwowa. Pogoda mimo listopada była prześliczna, nawet ciepło było i cisza panowała, że szelest spadających z drzew zeschłych liści słychać było. Okna powozu były otwarte. Naraz zerwał się wicher jakiś, rodzaj trąby powietrznej, a porwawszy w swe ramiona zeschłe liście, z całym impetem, zajęczawszy przytem żałośnie, przemknął przez otwarte na przestrzał okna powozu, zeschłym liściem nas zasypując.

— To ostatnie pożegnanie mej rodzinnej ziemi — wyrzekł porucznik z bolesnym uśmiechem.

Mnie serce się ścisnęło złowróżbnem przeczuciem.

Dojechaliśmy wreszcie do Włoch, stając w małej, nadmorskiej mieścinie jakiejś. Szczęśliwa miejscowość! Mimo grudnia ciepło tam, ba, niekiedy nawet gorąco.

Pan, który znacznie opadł był na siłach, najbliższych nawet pieszych wycieczek robić nie był w stanie. Od wczesnego ranka do wieczora siadywaliśmy na ganeczku, skąd przepyszny widok na błękitne morze się roztaczał. Panu lekarze wiele mówić zabronili, toż albo rozmową lub co najczęściej czytywaniem poezyj lub dzieł prozą zabawiałem chorego.

Pewnego dnia duszne było powietrze, nawet wiecznie pogodne italskie niebo nieco było zamglone, morze poczęło się niepokoić, burza była spodziewaną.

Widząc, że pan mocno czuł się przygnębiony, co tchu pobiegłem po lekarza. Ten, skoro tylko chorego opatrzył, na migi dał mi znać, że z chorym źle się dzieje.

Ziściły się słowa lekarza. Biedny pan wraz z rozpoczęciem burzy, które rzadkie we Włoszech, lecz nader gwałtowne bywają, w ramionach moich zakończył swój pełen cierpienia żywot.

Byłem w rozpaczy, lecz nie czas mi było oddawać się żalowi, mając tyle na głowie. Napisawszy natychmiast list do pani, sam zająłem się przygotowaniem odwiezienia ciała do rodzinnej ziemi, co wyraźnem było życzeniem nieboszczyka. Pieniądze miałem, toż kazawszy nabalsamować ciało i włożywszy je w trumnę, ruszyłem z smutnym powrotem do kraju.

W Krakowie zastałem już panią. Biedna, mimo młodych jeszcze lat, posiwiała.

I znowu we troje do domu wróciliśmy.

Pani, jakkolwiek bardzo jeszcze naówczas młodemu, zdała na mnie cały zarząd majątkiem.

W kilka lat obie córki za mąż powychodziły. Od chwili wesel, które bardzo cicho się odbyły, i u nas cisza zapanowała Dawni przyjaciele i sąsiedzi wymarli. Wtóre ich pokolenie nie zna nas i innemi pojęciami przejęte, nie stara się robić znajomości z „pustelnią“, jak w ogóle dom nasz nazywają.

Niekiedy odwiedzają nas zięciowie. Sylwerek, który u nas prawie się wychował, na wszystkie święta i ferye tu ściąga.

Pani wraz z śmiercią męża na zawsze poniechała swej myśliwskiej pasyi.

* * *

Sylwery testamentem staruszki stał się wyłącznym właścicielem obu jej wsi.

Niewielki, lecz z bardzo dobrą glebą folwark „Przełaje“ zwany, Marcin Przełaj wraz z całym martwym i żywym inwentarzem na dożywocie od staruszki otrzymał. Starzy słudzy równie dostali legata.

W kilka lat po zgonie babki, Sylwery się ożenił. Młoda żona jego żadnym sposobem w starym, smutnym domu mieszkać nie chciała, toż go Sylwery rozebrać kazał. W miejscu owego patryarchalnego przybytku, stoi obecnie nowomodny pałac.

Marcinek na wieść, że zniszczono miejsce, które tak kochał, nagle rozstał się z tym światem.



Wędrówki naszych ptaków.

Skreślił

Władysław Spausta.

(Ciąg dalszy.)

Wracam do obranego przedmiotu. Po skonstatowaniu ogólnie rozpowszechnionej żądzy wędrówek, nasuwa się na wstępie pytanie: Jak ptaki wędrują? Różnorodność w tym względzie jest tak wielka, ciągła zmiana stosunków kosmicznych a zatem i bytowych na ziemi wytwarza taki zamęt, taką tajemnicą okrywać się zdaje wiele rzeczy, które się dzieją, iż odpowiedź nie jest łatwą, jeżeli chcemy się się oprzeć na podstawie realnych badań. Bo jakże mamy odpowiedzieć dokładnie na to pytanie, jeżeli dotychczas dokładnie nie wiemy, o ile pewne gatunki ptaków ulegają bodaj sporadycznie żądzy wędrówek.

Wprawdzie naturaliści starali się i na tem polu wprowadzić jakiś podział. I tak, stary Brehm dzieli ptaki na 4 kategorye, a mianowicie na wędrowne, ciągnące, przelatujące i osiadłe. Jakkolwiek podział ten dla przyrodnika nie ma żadnej wartości, trudno mu odmówić znaczenia praktycznego dla kół szerokich. Trudno znaleść granice pojedyńczych tych działów, gdyż ten sam ptak w rozmaitych stosunkach do rozmaitych działow należy, a wiele jest już dziś faktów, które rzecz tę potwierdzają. Zauważano np., że zwykły chruściel *(Rallus aquaticus)* jest ptakiem osiadłym w Islandyi, a wędrującym w innych krajach; prawdopodobnie ustalają go w Islandyi naturalne cieplice wulkanicznego tego kraju. Zwykły szpak *(Sturnus vulgaris)* jest wędrującym w Danii, osiadłym na wyspach Faroër. *(Faber: Ueber das Leben der hochnordischen Vögel 1826).* Niemniej pustułka *(Falco tinnunculus)* musi być także w pewnych okolicach stałym, w innych wędrującym ptakiem, bo K.

Pietruski twierdzi, iż na zimę odlatuje, a ja widzę ją niemal co dnia (a jest luty), wylatującą z gęstwiny niedaleko od domu położonego lasu świerkowego.

Wiele jeszcze bardzo mógłbym naprowadzić podobnych przykładów z własnego i innych doświadczenia, ale tak teraz, jak w późniejszym toku rozprawy, muszę się ograniczyć na przykładach koniecznych, nie chcąc rozwlekać rozprawy do rozmiarów zbyt szerokich.

Niektóre indywidua pewnego wędrownego gatunku ptaków osiedlają się, podczas gdy współplemienne wędrują, co znów myli granice podziału. Objaw ten powtarza się także u zwierząt ssących, mianowicie u reniferów, u których wędrówki powtarzają się rokrocznie niemal z większą jeszcze regularnością niż u największych pedantów wędrownych rodu ptasiego, a tamtejsi myśliwi rozróżniają pomiędzy reniferami „stojatszie“ i „chodjatszie“ zwierzęta.

Według mego osobistego zapatrywania, które tylko jako takie podaję, nie ma w naszej strefie ptaków ściśle osiadłych; mniej więcej każdy ptak, choćby pozornie najstalszy mieszkaniec jakiejś okolicy, w pewnej porze, nie dającej się przewidzieć, wędruje, przenosi się w inne okolice i znów tam niby to stałe zakłada siedziby. Nawet nasz wróbel domowy, z pewnością ptak najwierniejszy swej ojczyźnie, wędruje w pewnych okolicznościach, a mianowicie wędruje w miarę posuwania się kultury agrarnej. Pallas w dziele swym „Zoographia Rossiae asiaticae“ T. II. 30. powiada, iż w Syberyi nie było wróbli przed wtargnięciem Rosyan, a pierwsze pojawiły się nad rzeką Obą pod 64^0 sz. g. w r. 1735 a w Narymie pod 59^0 sz. g. w r. 1739. Naturalista Radde, podróżując już w nowszych czasach po krajach Syberyi i Turkmenii, skonstatował dwukrotnie wędrówkę wróbli za człowiekiem, pomimo, iż tenże roli nie uprawiał. Jednak w tych wypadkach tłómaczy on sobie wędrówki te jako żerem spowodowane, a mianowicie raz zarodziły na stepach mączniki *(Chenopodiae)*, drugi raz szły wróble za owsem rozsypanym przy żywieniu koni kozackich.

Ptaki wielkie, zjawiając się w jakiejś okolicy, zwracają na siebie uwagę każdego, osobliwie łatwo dostrzegać się dają owe niezwykłe zjawiska w gatunku ptaków drapieżnych; trudno jednak dostrzedz, co się dzieje na niedostępnych bagnach i wodach, a tem mniej obserwować się daje fauna drobnych ptasząt w gęstwinie leśnej. Fauna ptasia ciągle się zmienia, a usuwa się o tyle uwadze, iż nieraz jesteśmy w kłopocie, gdy chodzi o oznaczenie granic osiedlenia jakiegoś gatunku.

Ptaki, które szczególnie myśliwską zwracają uwagę, mogą stanowić niejaki dowód powyższego twierdzenia. Wiedzą o tem myśliwi, że pewne ptaki łowieckie pojawiają się w pewnych okolicach, gdzie ich dotychczas nie było, kiedyindziej znów znikają pewne gatunki raz na zawsze, i tylko pamięć o nich mówi. A są to ptaki, które do osiadłych zaliczamy.

Widziałem w mem życiu wypadki, gdzie właściciel lasu, miłośnik myśliwstwa, usłyszawszy w swym lesie „grę“ pierwszego w okolicy tej cietrzewia, szanował o ile możności przez lat kilka niewielką rodzinę, ciesząc się nadzieją, iż kiedyś całe stada cietrzewi zamieszkają jego lasy. Niezadługo wszakże okazało się, że samo szanowanie zwierza i ochrona nie wystarczają tutaj, jeżeli nowy przybysz nie znajdzie dla siebie zupełnie odpowiednich warunków w przyrodzie, lub gdy takowych mu nie przysposobi umiejętnie ręka człowieka. Pomimo pozornego osiedlenia się, porzucił ptak ten swą dotychczasową siedzibę i poleciał szukać przyjemniejszej ojczyzny. Tę samą praktykę przeszedłem w lasach zakomarskich w latach 1873 — 1878 z tym samym ptakiem. Ważna to wskazówka dla myśliwego, demonstrująca wyraźnie, jak ważną jest rzeczą wnikanie badawcze w szczegóły warunków życia zwierząt łownych, gdyż dopiero na tej wiedzy oparci możemy im stworzyć stosunki, w których stale osiedlić się mogą.

Słyszałem nieraz od starych myśliwych, którzy już dawno w Bogu spoczywają, uparcie powtarzane zdanie, że im częściej polujesz, im więcej bijesz, tem więcej zwierzyny. Śmieszny to i nielogiczny aksiomat, a przecież tkwi w nim pośrednio rdzeń prawdy. Gdzie zwierzyny nie ma, tam i nie polowano, a gdzie była, tam ciągle polowano, a zwierzyna była ciągle, bo były odpowiednie dla niej miejsca, dokąd się gromadziła ze stron wszystkich. Może te słowa starych naszych myśliwych rutynowanych, poprą wypowiedziane zdanie o wielkiej doniosłości warunków bytowych. Gdzie są warunki bytu, tam prędko ochrona doprowadzić zdoła do silnego zwierzostanu, gdzie brak tychże, tam i najskrupulatniejsze poszanowanie i ochrona nie doprowadzi do wielkich rezultatów. Będą ciągłe narzekania na szkodników, kłusowników, a właściwa przyczyna leży tymczasem w samej przyrodzie lasu. Las sam przez się nie wystarcza już częstokroć, aby zapewnić zwierzynie wygodne siedliska, i aby utrwalić osiedlenie się tejże. Wobec stargania pojedynczych praw natury przez sztuczną kulturę w interesie rentowności lasu — wobec zmiany stosunków, w których odwieczne a niezmienne prawa zakreślały organizmom warunki bytu, gdzie to łączyła się potęga ze słabością wspierając się wzajemnie, gdzie to pod cieniem niebotycznych koron wyrastały swobodnie gęstwiny krzewów rozmaity żer wydających, a pod tymi znów trawka, znajdują tylko w zwierzynie stołowników, gdzie to ziemia i pnie starodrzewu kryły pożywnych mchów rozmaite gatunki — wobec takich zmian nie pozostaje nic innego, jak starać się o utworzenie sztucznie odpowiednich warunków bytu, jeśli zwierzyna stale w lasach ma przebywać. Wtenczas dopiero przekonamy się, iż wobec pięknych kultur knieje ożywiać będą różnorodni mieszkańce, a nie podniesie się żaden głos wrogi, bo stało się zadość zasadzie: „suum cuique“.

Las bez zwierza, bez ptaka, las, gdzie drzewa w geometrycznym rosną porządku, to nie natura, to tylko niedołężne jej naśladowanie, które nawet najgorliwszego leśnika na długo nie zajmie. Przeciwnie tam, gdzie się postarano o rozmaitość, gdzie wobec ofiar dla produktywności i rentowności lasu, poniesiono również i stosunkowo niewielkie ofiary dla ukochanych mieszkańców kniei, to prawdziwa rozkosz dla każdego, kto głębiej patrzy w przyrodę, to prawdziwy *voluptoir* dla właściciela lasu, w którym chętnie zapomni nieraz o gorżkich chwilach życia.

Po tem krótkiem zboczeniu od przedmiotu, które mi jednak wybaczy łaskawy czytelnik, wracam do rzeczy. Że ptaki odbywają swe wędrówki lotem, o tem zda mi się nikt wątpić nie będzie, przynajmniej o większości ptaków. Jednak i tu zachodzą niektóre wątpliwości, co do pewnych gatunków ptaków wodnych i błotnych. Mianowicie w posądzeniu są niektóre gatunki kaczek i perkozy, iż bodaj w części wędrówki płynąc odbywają, inne zaś jak kurki wodne (*Gallinula crex*) i derkacze mają pieszo część podróży przebywać. Dodać tu muszę jednak, iż pomimo, że niejakie spostrzeżenia upoważniają poniekąd niektórych ornitologów do podobnych twierdzeń, jednak z uwagi, iż spostrzeżenia takie w odpowiednich rozmiarach są prawie niemożliwe, muszę się znów udać na pole prawdopodobieństw i faktami już znanymi wy-

tłumaczyć rzecz nieznaną, a to w szczególności co do pieszych wędrówek.

Patrząc na nieudolnego chruściela lub na kurkę wodną, jakby w ostatnich podrygach życia wznoszącą się niemal przed psim pyskiem, uchodzącą chwiejącym i drzącym lotem, mimowolnie budzi się wątpliwość, czy jest możliwem, aby ptak ten odbywał na skrzydłach dalekie wędrówki. A jednak tak jest. Na pozór niedołężni ci latawce znajdują się zawsze o swoim czasie w Afryce, *(C. L. Brehm: Hinterlassene Schriften)* przeleciawszy morze Śródziemne. Zatem chyba nie umiemy ocenić zdolności ich skrzydeł, bo w obec takich dowodów możności i wytrzymałości lotu, czyż mogą usprawiedliwić niedostateczne spostrzeżenia inny sposób podróżowania?

Często spotykano stada ptaków wodnych na wodach, płynące w kierunku wędrówki, niemniej stada kaczek dopływające do wysp i lądów, co utwierdzało poniekąd mniemanie, że ptaki te płynąc odbywają swe podróże Jednak i tu dowiodły spostrzeżenia ścisłe, iż rzecz się ma inaczej. Ptaki wodne, jakkolwiek nieraz usiadają na wodach dla odpoczynku, odbywają tylko lotem swe podróże przez morza, a ujrzawszy ląd, spuszczają się na wodę i do brzegów dopływają; (Faber: *Über das Leben der hochnordisch. Vögel).* Jest to w zupełnej zgodzie z tem, co i u naszych kaczek bardzo często obserwowałem. Z natury ciężki ten ptak, chcąc się dostać na pola, nie usiada bezpośrednio na nie; jeżeli tylko nieopodal widzi wodę, zapada na wodę i podpływa do brzegu, skąd piechoto do celu się dostaje.

Skrzydła ptaków, które wędrówek bądź nie wykonują bądź wykonywać nie potrzebują, gdyż bez pomocy skrzydeł wszędzie obfity żer znachodzą, zanikają jużto częściowo jużto zupełnie, a dowodem tego jest nasz drób domowy, jakoteż wspaniałe pływaki stref zimnych: Alka bezlotna *(Plautus impennis)* już w r. 1844 wygubiona, niemniej do dziś dnia zamieszkujący południową półkulę Bezlotek *(Aptenodytes patagonica)* i wiele innych gatunków.

Największa potęga ptaka to skrzydło, w niem on największą ufność pokłada, a podczas gdy jedne z nich dosłownie „usiadają na huraganach", przesuwają się inne mniej szczęśliwe po nad wierzchołki naszych trzcin i zarośli, ale zawsze lecą, oderwawszy się od tego mrowiska, które nas przykuwa nieubłaganem prawem ciążenia.

Kierunek wędrówek naszych ptaków jest również tak trudnym do zbadania, iż od dawnych czasów już najrozmaitsze w tym względzie były zdania, dziś jednak, jakkolwiek o tym przedmiocie jeszcze wiemy niewiele, materjał ten wystarcza do utworzenia sobie obrazu w głównych zarysach. Na podstawie długoletnich spostrzeżeń twierdzić tu mogę, iż ptactwo, dające się w locie obserwować, wędruje zawsze w pewnym kierunku w jednej i tej samej okolicy, pomimo, iż naturalista Palmen utrzymując, iż ptactwo wędruje wzdłuż wybrzeży morskich i w kierunku biegu rzek, wytycza mu tem samem pewne drogi, po których wędrować musi.

Że ptaki nie wędrują po jakichś powietrzem wytyczonych drogach, tego zdaje się mi udowadniać nie potrzebuję, bo gdyby tak było, nie widzianoby równocześnie na rozmaitych punktach pewnej strefy stad wędrujących. Ptactwo zatem podróżuje frontem, nie wybierając dróg szczególniejszych, a jeżeli wędruje na pewnych miejscach gęściej, to przypisać to należy albo pewnym wyjątkowym stanom atmosfery, albo szczególniejszym przymiotom terenu, tak samo jak nieraz odbywa ptactwo wodne i błotne wędrówki swe po nad korytem rzek, jeżeli bieg tychże ciągnie się w kierunku wędrówek.

Być może, iż do teoryi o drogach stałych, które ptactwo w swych wędrówkach ma używać, przyczyniła się i obserwacya — jednak obserwacya nieskończona. Ptactwo wodne i błotne chętnie odpoczywa przy brzegach lub na wodach przy tychże, a spłoszone wzlatuje w kierunku biegu rzeki, aby usiąść cokolwiek dalej na brzegu lub wodzie i żerować dalej. Kto jednak bliżej podpatrzył ten objaw, przyszedł do przekonania, że wędrówki w regule nie odbywają się z biegiem rzek, lecz często w poprzek tychże, w kierunku obranym bez względu na pasma gór i inne przeszkody. Tak samo twierdzenie o wędrówkach nadbrzeżnych morskich zdaje się polegać na niedostatecznych spostrzeżeniach. Ptactwo obsiada brzegi morza, przelatuje nad nimi, przebywa częstokroć czas dłuższy w tych miejscach, ale czyni to albo dla wypoczynku albo dla posilenia się żerem na brzegach, gdzie go jest najwięcej. A jeżeli baczniejszą zwrócimy uwagę, przekonamy się, że obsiada głównie brzegi w miejscach ujścia rzek do morza. Przy mieszaniu się bowiem wody rzecznej ze słoną wodą morza, miliony rozmaitych w wodzie żyjących organizmów ulega śmierci, zwierzęta wody słodkiej giną pod wpływem wody morskiej i przeciwnie, a całą tę masę świeżych zawsze zwłok mięczaków, robaków i t. p pozostawia codziennie odpływ morza na brzegu.

W roku 1883, będąc właśnie podczas wędrówki ptaków w porze jesiennej nad brzegiem morza niemieckiego, obserwowałem kilkakrotnie to samo zjawisko. U ujścia Wezery koło Blexen, spostrzegłem nie wielkie stadko kulonów *(Numenius arquatus)* w towarzystwie kilkunastu egzemplarzy biegusów *(Tringa)* i o ile rozpoznać mogłem siewek *(Charadrius pluvialis)*, biegających szybko po namule brzegu. Gdy się zbliżyłem, ptactwo odleciało, a brzeg, odkryty wskutek odpływu morza, zasiany był mnóstwem najrozmaitszych nieżywych robaczków i mięczaków. Niedziw zatem, że ptactwo żyjące pokarmem zwierzęcym, przelatuje brzegi morza, żerując i spoczywając, jednak wątpię, aby jakikolwiek ptak li tylko drogą na wybrzeżu morskim dostawał się kiedykolwiek do krain południowych.

Jeżeli przypomnimy sobie wszystkie nasze wrażenia ze spostrzeżeń, tyczących się wędrówki ptaków przelatujących po nad naszą krainą, to utworzy się nam zawsze jeden i ten sam obraz ogólny, pominąwszy rozmaite wyjątki, które nie zawsze są zrozumiałymi. Mogę powiedzieć, iż obserwując w rozmaitych okolicach wędrówki ptaków, raz w okolicy żyznych pól ornych, to znów obfitych w żer wód, w lasach, w okolicach wydmuchowych piasków, w stepach bezwodnych, widziałem zawsze jedno i to samo zjawisko. Najczęściej głosy w powietrzu zwiastowały mi lecące ptactwo wtenczas, gdy przedmiotu jeszcze oko uchwycić nie zdołało, wreszcie ukazywało się stado na jednej stronie widnokręgu, sznurowało zawsze w linii prostej, zatem najkrótszą linią tak długo, póki znów się kształty nie rozpłynęły w powietrzu po drugiej stronie. Naturalnie, że spostrzeżenia te odnoszą się do ptactwa po dniu i wysoko lecącego.

W pojedyńczych, a dobrze w pamięci tkwiących ponieważ wyjątkowych wypadkach, mogłem dojrzeć lekkie i pozorne zboczenie z kierunku, jednak po nakreśleniu takiego kąta, wędrówka dalsza odbywała się znów w kierunku pierwotnym, a posunięcie się to w bok tłumaczę sobie jako powodowane prądami w górze, które ten majster ruchu w najdokładniejszy sposób zawsze wyzyskać potrafi. Zresztą wiedza pod tym względem daleko nie sięga, z tego wszakże

już co widziałem, sądzę, że ptactwo wędrowne, pominąwszy wyjątkowe wypadki, przeszkody terenu, zboczenia dla żeru, wyminięcia burz i wiatrów niekorzystnych, wędruje w linii najkrótszej i najprędzej do celu wiodącej, a tą jest linia prosta.

Niemal śmiesznem, gdyby to nie była poważna sprawa wiedzy, wydaje mi się uparte zdanie niektórych z nowszych pracowników w tym przedmiocie, iż ptak wędrowny trzyma się jakichś dróg na ziemi wytyczonych. Mimowolnie zdaje mi się, że człowiek nie może tu oddzielić swej do ziemi przywiązanej istoty od ptaka, który przecież nie potrzebuje ciągle nad wodą lecieć dlatego, że woda mu żeru dostarcza. Nie zapominajmy, że średniej szybkości latawiec może zjeść śniadanie na wybrzeżu Bałtyku, obiadować nad Sanem lub Dniestrem, a na nocleg zawsze jeszcze ujrzy sine limany Dunaju lub szybę Adryatyku. Najrozmaitsze spostrzeżenia udowodniły, iż ptactwo nasze, pominąwszy wyjątki, wędruje w kierunku południowo-zachodnim a względnie północno-wschodnim, a dodam tu jeszcze, iż ptactwo wodne (niektóre gatunki) i inne niezbyt wysoko lecące, wędrują częstokroć w kierunku południowo-wschodnim, wzdłuż pasma Karpat i podnóża tychże. Przynajmniej ja miałem sposobność na tej rucie obserwować najczęściej i największe stada tych ptaków, ale podając tę rzecz, nie wyrzekam pewnika, do którego mnie jeszcze nie upoważniają niedokładne acz liczne spostrzeżenia, a takiemi być muszą, gdy przedsiębrane są tylko z jednego punktu kraju. Główny kierunek wędrówek poucza nas, iż jeżeli przypuszczenia o prostej linii w wędrówkach są prawdziwymi, ptactwo wędrowne, przelatujące przez nasz kraj z krajów północnych, pochodzi mniej więcej z Finlandyi i Liflandyi, jednem słowem z krajów Rosyi pomiędzy morzem Białem a Bałtyckiem położonych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Co ja lubię.

Lubię, gdy koń ulubiony,
Co myśl moją odgaduje,
Niesie mię przez step wzburzony,
Gdy mu grzywę wiatr całuje.
Lubię, kiedy sokół młody
Z mogił poprzed koniem wzleci,
I gdy lecą jak w zawody,
Te swobodne stepu dzieci.
Wicher wówczas nas ogarnie —
Step przemawia aż do duszy,
A my z wichrem lecim gwarnie,
A koń w pędzie tuli uszy;
Ja mu chylę się na szyję,
A za nami step pomyka,
A w obłoki sokół bije,
I w błękitach nieba znika;
Tuż koło mnie charty gonią,
Za mną wierny Kozak leci,
A burzany głowy kłonią,
Bo my dzikie stepu dzieci.

* * *

Lubię także, gdy do kniei
Za dzikami puszczą psiarnię,
Gdy podobne do zawiei
Psy polecą, grają gwarnie,
Kiedy walka wre zaciekła,
Gdy wojenne te hałasy,
Jakbyś bramy rozwarł piekła,
Grozą napełniają lasy —
Że wylękłe, rzekłbyś, drzewa
Każdym listkiem drżą po lesie,
Kiedy echo grzmi, rozbrzmiewa,
I w dal okrzyk wojny niesie,
Gdy odyniec się nie daje,
Ale wściekły, wśród pogoni,
Nagle zwróci się na złaję
I kłem życia swego broni —
I gdy słychać rogu dźwięki,
Gdy krew tryska przed oczyma,
Gdy się zacznie skowyt, jęki —
Dzika radość pierś rozdyma!

* * *

Lubię, kiedy Grzesio stary
Przy kominku się rozgada,
Jak bywało szedł z ogary
I na dzika z nimi wpada.
Łza po siwym wąsie spłynie,
Kiedy dawne wspomni czasy;
Kiedy wspomni, że co minie,
Jakbyś piasek rzucił w lasy...
Ale kiedy już zmęczony
Koń mój gniady ustał w pędzie,
Kiedy sokół już znużony,
Szuka mogił gdzie usiędzie.
Gdy już psiarnia z kniei wróci,
I zwierz leży powalony,
Kiedy kozak utrudzony
Tęskną piosnkę z cicha nuci —
Wszystko mi się zdaje marne
I wspominam oczka czarne...
I coś w sercu spokój kłóci...
Hej!... czy chwila szczęścia wróci?!!

A. S.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń d. 19. czerwca.

(Z Wystawy łowieckiej.)

Tegoroczna wystawa rolniczo-leśna w Wiedniu — należy to przyznać — wypadła wspaniale. Jako wystawa, nie mająca charakteru powszechnego, lecz ściśle zakreślony, obejmujący jedynie rolnictwo i przemysł rolniczy, leśnictwo, łowiectwo, rybactwo, pszczelnictwo i ogrodnictwo, oraz pokrewne tym działom grupy — nabrała znaczenia europejskiego, tem bardziej, że ponad program pierwotny, oprócz krajów monarchii austro-węgierskiej, pojawiły się na placu wystawy pawilony Francyi, Włoch i Szwecyi. To też oprócz olbrzymiej, a znanej już z wielu wystaw rotundy wraz z jej bocznymi galeryami, stanęło na znacznej przestrzeni uroczego Prateru 60 mniejszych i większych pawilonów, a nagromadzone w nich okazy ściągają codziennie znaczną ilość osób. Szczególniej wieczorami napływ bywa znaczny, bo Wiedeńczyków, mniej ciekawych fachowej strony wystawy, ściągają sławne „fontaines lumineuses“, owe różnokolorowem światłem elektrycznem z dołu oświecane wodotryski, które tyle rozgłosu miały także na ostatniej wystawie paryskiej.

Pośród bogactwa różnych osobliwości, które mogą interesować rolnika i leśnika, nie niknie tu wcale dział łowiecki. Owszem, odznacza się bogatymi zbiorami trofeów myśliwskich, szczęśliwymi efektami w ugrupowaniu i wielce pouczającem przedstawieniem historyi myśliwstwa.

Dwa są główne przybytki, które łowiectwu poświęcono, a mianowicie zachodni transept rotundy z podwojami, prowadzącymi na najcelniejszą *avenue* wystawy i specyalny, obszerny pawilon, gdzie historyczny rozwój łowiectwa uzmysłowiono. Oprócz tego są tu i ówdzie w zbiorowych wystawach leśnych i w poszczególnych pawilonach ciekawe okazy łowieckie porozrzucane.

Pozostawiając sobie opis pawilonu historycznego do oddzielnej korespondencyi, pokuszę się przedstawić Wam to, co w sobie rotunda i niektóre inne pawilony mieszczą.

O ile to smutnem, że rolnictwo galicyjskie wcale nie jest na wystawie reprezentowanem — o tyle znów przyznać należy, iż wystawa łowiecka galicyjska wypadła imponująco. Nagromadzono w niej okazy tak wspaniałe, i tak nigdzie indziej się nie powtarzające — że wystawa galicyjska łowiecka staje się prawdziwą *great attraction* dla zwiedzających tę część rotundy i przed nią cisną się też najliczniejsze grupy ciekawych.

Prawdziwa wdzięczność należy się zatem hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu, oraz prezesom gal. Towarzzystwa łowieckiego hr. Romanowi Potockiemu i hr. Stefanowi Szembekowi, że nie szczędzili wszelkich starań, ażeby przynajmniej co do łowiectwa honor Galicyi na wystawie uratować.

Pośród wspaniałych rogów jelenich, widniejących zresztą w niesłychanej ilości po całej wystawie i pięknego zbioru myłkusów sarnich hr. Dzieduszyckiego, hr. Potockich i hr. Hompescha, urządzono tu poniekąd t. z. „sztrekę“ tj. rzucono masę zwierząt łownych galicyjskich tak, jak na rozkładzie, dopiero co po polowaniu. Przeważna część zatem jest w ten sposób, bez gonienia za efektem, wypchaną, a przecież swą masą i pięknością okazów bije wszelkie sztuczne efekta.

U dołu więc, na zboczy skalnej, niby na „ściance“ Dniestrowej, pomiędzy trawami i mchami leży potężny odyniec. Nie największa to sztuka z tych, które jeszcze Galicya posiada, bo ważyła po ubiciu 334 funtów, ale zawsze pokaźna i szczycąca się nietkniętą ozdobą swych „piór“ na grzbiecie, na które nagonka tak bywa zawsze łakoma. Dalej pięć okazałych wilków, między którymi jednego ubił hr. St. Szembek, jednego St. Matkowski, a jednego W. Zontak, imponuje zwiedzającym i liczbą i rozmiarami. Do tego trzeba dodać 13 lisów nizinowych i górskich, 3 kozły, 2 piękne wydry, 6 zajęcy, dobranych pod względem ubarwienia tuzrzycy, 3 borsuki, 2 tumaki, 3 żbiki i 4 rysie — ażeby mieć imponujący obraz tej kolekcyi. Niektóre, jak np. rysie, wypchane w postawie żyjących, wzięto z bogatego muzeum im. Dzieduszyckich, podobnie jak całkiem białą siutę i wiele ciekawych ptaków. Oprócz tego wszakże znalazła tu miejsce charakterystyczna i wybornie zestawiona grupa trzech, około drzewa igrających niedźwiadków, które, pomimo iż są w niedalekiem sąsiedztwie od zwierząt, preparowanych w naturalnej postawie przez sławnego preparatora wiedeńskiego Hodeka, nic na tem nie tracą, i zawsze podziwiających je widzów ściągają.

Wrażenie wprost nadzwyczajne wywołuje umieszczona tuż obok kolekcya ośmiu skórek i trzech całych, wybornie ustawionych rysiów — jako zdobycz łowiecka jednego sezonu myśliwskiego z lasów Spaskich hr. Ludwika Wodzickiego. W zbiorze okazów cesarskich jest również jeden ryś, którego cesarz Franciszek Józef zabił w Galicyi.

Na ścianie zbiór 35 szczęk dzików w rozmaitych stopniach rozwoju, będący własnością ks. Adama Sapiehy i podobno ze zwierząt przez niego tylko ubitych pochodzący, jest kolekcyą i zoologicznie i myśliwsko ważną.

Wyższe łowy nasze reprezentowane są również świetnie licznymi okazami całych głuszców i cietrzewi, lub tylko ogonów z pysznymi lustrami, tak pośród zbiorów Potockich jak i Dzieduszyckiego Głowami zaś dzików, niedźwiedzi, wilka, kozła i innych, przysłanych przez dr. F. Krattera ze Lwowa ozdobiono framugę portalu, wiodącego już do dalszych części wystawy.

Wspomniałem już o formalnym potopie rogów, przeważnie jelenich, którymi wystawę łowiecką zalano. Jest tu tak wiele pięknych okazów, że trudno wiedzieć, którym dać pierwszeństwo. To pewna jednak, że rogi na oddziale węgierskim i galicyjskim, pochodzące z dziko żyjących jeleni górskich, pomimo, że nie częste są między nimi wieńce szesnastaków, ośmnastaków i wyższe, siłą swych pni, łodyg i gałęzi stanowczo biją rogi wyrodzonych jeleni zwierzyńcowych, choćby nawet starszych. Do najwspanialszych należą rogi jeleni węgierskich ks. Filipa Koburskiego, między którymi jest jeden już poprzód w Budapeszcie premiowany dwudziestak, a drugi, również dwudziestak, dziwnie monstrualny myłkus; rogi hr. Schönborn-Buchheima z kniei Munkackich i St. Miklos; rogi, wystawione przez hr. C. Starhemberga, a pochodzące z lasów i ostrowów Dunajowych z końca XVII wieku; rogi ks. Ludwika Rohana, mianowicie jeden wieniec o 22 nierównych końcach, pochodzący z Bukowiny. Rogi prześliczne mieści także pawilon ks. Jana Liechtensteina, kolektywna wystawa hr. J. Waldsteina, ciekawym jest także wieniec o 22 końcach z jelenia ubitego w roku zeszłym przez starostę p. A. Fedorowicza — a najpiękniejsze może z galicyjskich rogów rozwiesił w swym przepysznym pawilonie bar. Leopold Popper.

W pawilonie tym znajdujemy także wiele innych okazów łowieckich. Tu przedewszystkiem wypchane są w całej swej okazałości dwa karpackie jelenie, leżący dwunastak i stojący ósmak, bardzo ciekawy kozioł perukowy, olbrzymi niedźwiedź karpacki, rysie, głuszce i niesłychanie wielka skóra z odyńca.

A skoro już skoczyłem do pawilonów, należy zauważyć, że w okazałym pawilonie c. k. ministerstwa rolnictwa zamieszczono także niektóre ciekawe okazy łowieckie. I tak widzimy tu 76 sztuk odlewów gipsowych z tropów wszystkich prawie zwierząt łownych, które zamieszkują krainę Alp i Karpaty. Są tu więc tropy niedźwiedzia, (odlane przez W. Zontaka) wilka, lisa, kozicy, dzika itd., szkoda tylko, że jedynie odciski dwóch stóp, nie zaś wszystkich czterech kończyn, w odpowiedniem rozmieszczeniu którego figura tak bardzo trop zwierząt charakteryzuje.

Specyalnie do Galicyi odnoszą się tu mapki przeglądowe tego kraju, wypracowane wedle skazówek dyr. Glanza, a wykazujące miejsca przebywania jelenia, niedźwiedzia, jako zwierzęcia osiadłego i przechodniego, wilka i rysia. I tu wypchany ryś karpacki pilnuje tych okazów.

Z pomiędzy grup zwierząt, celujących uchwyceniem, że się tak wyrażę, na uczynku, oddaniem charakterystyki ich form i ruchów, należy podnieść jeszcze trzy znajdujące się w rotundzie grupy. Są one własnością J. Michla, nauczyciela z Czech. Jedna przedstawia dzika, siedzącego na zadzie, i opędzającego się dwom atakującym go jamnikom; druga lisa z bażantem, trzecia lisa z zającem. Są one artystycznie pojęte i okiem myśliwskiem wystudyowane.

Inne, zbyt nienaturalne i teatralne wrażenie wywołuje wspaniała ściana, na którą, za grube niezawodnie pieniądze bar. Alberta Rothschilda, złożyli się preparator wiedeński Hodek, rzeźbiarz Costenoble i malarz Heilmann. Przedstawia ona alpejską okolicę Austryi Dolnej i ukazuje nam równocześnie to kozicę nad przepaścią, to głuszce tokujące, to pardwy alpejskie na śniegu, to lisa czatujacego za krzakiem na biegnącego z góry białego zająca alpejskiego itd. Natura ani co do czasu ani co do miejsca nigdy tego tak nie sprzęga — nawet choćby na żądanie Rotszyldów — całość zatem, pomimo wielkiej staranności, wydaje się tylko karykaturą przyrody, czemś całkiem nie łowieckiem, niesmacznem, a razem ze swoimi kartonowymi skałami przypominającem raczej boże groby lub owe szopki, które O. O. Bernardyni na Boże Narodzenie sporządzają — a nie rzecz myśliwską.

O wiele lepszym jest już ten obraz górskiej fauny, który w zbiorowej wystawie swej przedstawiło Karynckie Towarzystwo leśne. Tam przynajmniej nie ma pretensyi do jakiegoś obrazu myśliwskiego, lecz wszystkie zwierzęta od sikorki do kozicy są w malowniczem *pêle mêle* zebrane, a poza nimi piętrzą się nie kartonowe skały, lecz przynajmniej dobrze malowany Grossglockner ze swoimi lodowcami i lawinami.

Po wystawach z dalekich okolic zapędzają się nawet zwierzęta z Polski i z Karpat. Zdumiony byłem n. p., przechodząc pomiędzy wystawami szkół i towarzystw leśnych z Czech, gdym spotkał nagle dobrych znajomych, w których Czechy nie obfitują. I tak n. p. szkoła leśna z Weisswasser wystawiła niedźwiedzia z pod Maydanu, wilka z okolic Sławuty — a zresztą rodzinę rysiów z pod Munkacza, grupę żbikow z Naciczu w Slawonii, norkę *(Fortorius lutreola)* z Bukowiny, szakala z Kaukazu. Jest tu nadto kret zupełnie biały (albinos) i głowa sarny z olbrzymim tumorem, który się wytworzył w skutek pęknięcia czaszki przy uderzeniu o drzewo. Dobre odlewy gipsowe tropów niedźwiedzia i wilka, wreszcie między ptakami dwa pustynniki, ubite w Czechach i cietrzew średni *(Tetrao medius — Rackelkahn)*, również czeski, uzupełniają tę staranną ze wszech miar wystawę szkolną.

Co do tropów należy wspomnieć, że gipsowe odlewy tropów dzików, jeleni. kozic i sarn w kilkunastu rozmaitych odmianach wystawił także c. k. nadworny urząd łowczy.

Z łowieckich rewirów cesarza zostały wystawione ciekawe trofea, pochodzące przeważnie z zwierząt, które z ręki monarchy poległy. Jest tu 10 wieńców jelenich i 20 par rożków kozic alpejskich, pochodzące z ulubionych kniei cesarskich w Salzkamergucie i Styryi. Prócz tego Gödöllö przysłało kilkanaście wieńców jelenich, między tem jednego dwudziestaka, jednego ośmnastaka i ośm szesnastaków; z Ischlu, Eisenerz i Mürzsteg także są wieńce jelenie i rożki kozic alpejskich, ubitych przez księcia Ferdynanda Toskańskiego. Piękne rożki kozic wystawił również hr. Meranu, a preparator Rosonowski z Bruku nad Murem dał wybornie ustawioną kozicę z dwoma bujającymi nad nią orłami przednimi.

W dziale węgierskim znajduje się ciekawy okaz niedźwiedzia, ubitego przez arcyks. Frydryka. Innego mysia, odmiennego, a bardzo przyzwoitych rozmiarów, wystawił książę Filip Koburski. Są one preparowane w postawie stojącej, czyli mówiąc językiem łowieckim „stawiają drabinę“ — a jeden i drugi podnosi ku widzowi „łopatę“ z potężnymi pazurami. Krotochwilnie też wygląda zawieszona na nich tabliczka z uprzejmym napisem: *Ich bitte mich nicht zu berühren!*

Z pomiędzy zbiorów, pozostałych po arcyksięciu Rudolfie, wystawiono 16 wieńców jelenich, 2 pary rogów daniela, 4 pary rogów muflona zwierzyńcowego, 2 głowy kozłów, łeb odyńca, dzikiego indyka (puttera), dropia, 4 orły i kilka pięknych bardzo czapel.

Co do rogów danielich, wystawili je także ks. Jan Liechtenstein, ks. Filip Koburski, ks. Józef i Karol Schwarzenbergowie z Czech, hr. Schönborn-Buchheim, hr. Abensperg-Traun, hr. Hardegg, bar. Laudon, hr Breuner-Enkevoirth, ten ostatni również wieńce jelenia wirginijskiego, podobnie jak hr. Colloredo-Mannsfeld.

Muflona zwierzyńcowego dał na wystawę hr. Geza Andrassy z Węgier, a rogi i czaszki muflonów widzimy jeszcze między trofeami ks. Filipa Koburskiego ze zwierzyńca dworskiego w Lainz, ks. Adolfa Schwarzenberga z Altthiergarten, hr. Józefa Hoyosa-Sprinzenstein, hr. Abensperga-Traun i hr. Jana Wilczka. Hr. Wilczek wystawił oprócz tego rożki kozic i 4 pary rogów koziorożca z Alp piemontskich. Koziorożca widzimy również w kolekcyi hr. Jerzego Waldsteina, a wielce ciekawy egzemplarz, ubity w Tyrolu, gdzie go już dziś nie ma, jeszcze w r. 1603, zamieszczono w pawilonie historyi łowiectwa.

Pomiędzy trofeami łowieckimi są często rozsiane same kły, czyli „szable“ odyńców w srebrnych oprawkach — imponujące rozumie się tylko wtedy, gdy nie pochodzą z sztuk, zdegenerowanych przez sztuczną hodowlę w zwierzyńcach. Ciekawą pod tym względem jest tablica z pięknymi bardzo kłami w pawilonie francuskim. Są to prawdziwe „szable“, którychby się i nasze odyńce nie powstydziły — nie wiadomo jednak z jakiego czasu pochodzą. Wystawił je p. Lambert Lucien z departamentu Yonne, dodawszy wszakże równocześnie dzieło... *sur la destruction du sanglier.*

Z zakresu przedmiotów, należących do gospodarstwa łowieckiego i ochrony zwierząt łownych należy wspomnieć

o modelach kurników do karmienia kuropatw, które wystawili: znany myśliwy morawski, R. Dombrowski i Karol Eisenstein z Brzeziny pod Taborem w Czechach — paście na drapieżne zwierzęta ze zbiorów ks. Liechtensteina i z fabryki Grell i sp. w Haynau na Szląsku pruskim — siecie do rozmaitego gatunku łowów, od dzików aż do kuropatw, w kolekcyi ks. Schwarzenberga i inne.

W pawilonie francuskim wystawił p. Bouchereaux samopał swej konstrukcyi, sygnalizujący bytność kłusowników w kniei, jeżeli rozumie się kłusownik, idąc, raczy nogą odpowiedni drut poruszyć.

Wielce oryginalną w swoim rodzaju jest kolekcya broni kłusowniczej, nadesłana przes prezydyum sądu obwodowego z Steyr. Są to znane *corpora delicti*, odebrane kłusownikom — setki egzemplarzy broni palnej najdziwaczniejszych i najbardziej wyrafinowanych kształtów, oryginalnych systemów własnego wynalazku — po większej części wyroby przemysłu domowego. Są tam powiązywane sznurkami muszkiety z podorabianymi zamkami, strzelby w kształcie lasek, strzelby do odśrubowywania, pistolety, samopały, dalej prochownice, torby na kule, formy do lania kul, łyżki do topienia ołowiu, sidła druciane, żelaza, pałki, noże myśliwskie, żelaza do wspinania się na drzewa, kije do wspinania się na góry, służące jednak w danym razie jako broń zaczepna, dalej haki, sznury i rzemienie, służące do transportu zwierzyny. Oryginalnym jest pomysł strzelby w postaci łokcia kupieckiego. Obok znajduje się także kolekcya niedozwolonych ustawami przyrządów do łapania ryb.

Daleko to jeszcze do opisania wszystkiego, co jest ciekawem w rotundzie i pawilonach; boję się jednak znużyć Was, i na razie poprzestaję na tem, zostawiając sobie resztę do listu następnego. *St.*

Z Kałuskiego w czerwcu.

(Kłusownicy w obec sądów).

Na nic się nie przydadzą wszelkie ustawy, odnoszące się do ochrony zwierzyny, jeżeli sądy nie będą surowsze w swych wyrokach na kłusowników, ba, co gorsza, jeśli będą traktowały jak dotąd z pobłażaniem sprawy tego rodzaju.

Trzeci rok temu jak podałem do sądu skargę na kłusownika Ołeksę Łeców, właściciela młyna pod Rosulną, który zabił łanię. Sąd powiatowy w Kałuszu skazał go po dość długiem dochodzeniu na dwa miesiące aresztu i zwrot kosztów procesu. Ołeksa Łeców apelował do sądu obwodowego w Stanisławowie i został zupełnie uwolniony od wyroku sądu powiatowego, dla braku dowodów. Widocznie więc dowody winy, jakie wystarczały sądowi powiatowemu, dla sądu obwodowego były za małe.

A rzecz się tak miała: Strażnik polowania, należącego do księcia Adama Sapiehy, przed wieczorem usłyszał strzał, pobiegł na miejsce, gdzie padł strzał, i zastał łanię ze zgruchotaną zadnią nogą, która przeraźliwie ryczała, nie zastał tam już jednak złodzieja zwierzyny, a ponieważ to się stało w lesie w bliskości sadyby, znanego w całej okolicy kłusownika Ołeksy Łecowa, postanowił czekać na dróżce, która prowadziła w stronę pomieszkania Ołeksy Łecowa, aby go ująć jak przyjdzie zabierać łanię. Spotkawszy pobereźnika rządowego, uprosił go, aby mu towarzyszył w zasadzce. Wkrótce spostrzegli idących ku nim dwóch ludzi, mieszkańców pomienionej miejscowości, a nie czekając aż przystąpią do zabierania łani, wyszli z ukrycia naprzeciw nich i zapytali gdzie idą? Ołeksa Łeców, który miał drążek na ramieniu, (widocznie dla zabrania łani) odpowiedział, że idzie na ryby do miejsca, gdzie węcierz zastawił, a które było odległe o kilometr drogi. W trakcie tej rozmowy Ołeksa i jego towarzysz skoczyli z drogi w krzaki i znikli, a ponieważ noc już zapadła, strażnicy nie dostrzegli gdzie się podzieli. Poszli jednak natychmiast wprost do pomieszkania Ołeksy Łecowa i zastali go już w domu (a zatem po węcierz nie chodził). Zapytany Ołeksa Łeców, czy on strzelał dziś wieczór w lesie, rzecz naturalna wyparł się. Ołeksa Łeców spotkany na pomienionej dróżce szedł razem z bratem swym ciotecznym Jurkiem Dymytryszyn który w parę tygodni później opowiadał innemu strażnikowi tegoż polowania Ołeksie Kołyk, jak brat jego Ołeksa oszukał strażnika Hrynia Filipowicza, mówiąc mu, że idzie po rybę a szedł rzyczywiście po zabitą łanię.

Jurko powiada: brat mój przybiegł z lasu tego wieczora do domu i mówił: Zabiłem taką sarnę wielką, żem jeszcze takiej nie widział nigdy, chodź zemną, weźmiemy drążek, to ją przyniesiemy. (Jelenia nie znał Ołeksa Łeców, bo w tej kniei dopiero od lat czterech, od czasu jak książe Sapieha wziął polowanie rządowe, ściągnięto na przynętę i lizanki jelenie z gór i zaczęto je hodować). Zdaje się, że zeznanie Jurka Dymytryszyna, który był powołany do sądu jako świadek, wystarczało za dowód niezbity, pomimo wszelkich innych namacalnych dowodów, że Ołeksa Łeców a nie kto inny łanię zabił. Sąd jednak stanisławowski ze względów, nie rozumiem jakich, uznał Ołeksę Łecowa za niewinnego.

Ze smutkiem przyznać trzeba, że do demoralizacyi ludu naszego przyczynia się wielce pobłażliwe postępowanie, nie przestrzeganie wykroczeń, które szkodę przynoszą ogółowi społeczeństwa, jak n. p. niszczenie w niewłaściwym czasie zwierzyny, która służy na pożytek publiczny, bo przenosząc się z miejsce na miejsce, jest faktycznie wspólną wszystkich ziemian własnością.

Nie grzeszymy w niczem zbytkiem gospodarności, a co do rzeczy, w które natura nas sama uposażyła, uważamy za zupełnie zbyteczne opiekować sie nimi. Mamy obszerne bory, wielkie przestrzenie pól i zarośli gdzie, powinna by się roić zwierzyna, gdy tymczasem u nas gorszy jest zwierzostan jak w innych krajach, gdzie niema takich warunków dogodnych dla hodowania zwierzyny. Za granicą, właściciel polowania ma stały dochód z łowiectwa, u nas z powodu kłusowników i ich rozuchwalenia się, wynajęcie polowania jest kosztowną zabawką. Gdzieindziej ogół mieszkańców kraju na targach może dostać tanio zwierzynę, kiedy my musimy płacić za zająca 1 zł. 20 ct. do 1 zł. 50 ct. W Czechach np. a nawet w sąsiednim już Szląsku dostać można w właściwej porze zająca za 70 ct. Dlaczego? Oto dlatego, że kłusownicy u nas biją i łapią w żelaza zwierzynę bez względu nawet na porę roku, w której zajęczyca jest kotną lub sarna albo łania ciężką, jest to rozbój, który w kraju ucywilizowanym nie powinien i nie może być cierpianym. Przed paru tygodniami a zatem w miesiącu maju, zabrałem dwie dubeltówki kłusownikom, którzy do sarn na wychodnego strzelali, a przy rewizyi w mieszkaniu tychże kłusowników znaleziono 14 żelaz do łowienia zwierzyny. Zawdzięczam to powodzenie w poskramianiu kłusowników naczelnikowi posterunku żandarmów p. Glozerowi, którego obecnie mamy w Krasnem, bo tenże udzielił mi pomocy i chętnie się tem zajął. Gdyby więcej takich żandarmów było, to przy energicznem traktowaniu tego rodzaju spraw przez sądy, pomału i my mielibyśmy taką samą i większą ilość zwierzyny, jak w innych krajach państwa. *B. D.*, łowczy.



KRONIKA.

Wilki. Z powiatu gorlickiego donoszą, że w połowie czerwca pojawiły się tam wilki, które pożarły kilka sztuk bydła. Ludność wsi Ropki, Banicy i Wołowca została wezwana do staranniejszego strzeżenia swego dobytku przed wilkami, kryjącymi się w pobliskich lasach węgierskich, a nadto c. k. starosta wezwał także właścicieli lasów dotyczących, ażeby zarządzili tępienie wilków.

Premiowe puszczanie gołębi pocztowych, wprawianych do przenoszenia depesz, odbyć się ma w dniu 20 lipca r. b. pomiędzy Krakowem a Wiedniem. Gołębie puszczone będą po czternastodniowem internowaniu w fortyfikacyach krakowskich. Cesarz i c. k. ministerstwo wojny wyznaczyło nagrody dla tych, którzy przy owym próbnym locie okażą się najlepszymi chodowcami pocztowych gołębi.

Mnogością głuszców odznacza się Mürzzuschlag w Salzkamergucie. Ks. Leopold Bawarski, wybrawszy się tam na głuszce w rewirze „Untere Glashüte" dnia 5 maja nad ranem, ubił sześć kogutów — liczbę niesłychaną jak na jeden ranek i jednego strzelca.

Cesarz ubił tej wiosny dwa głuszce w rewirze Reichenau. Zresztą padło w cesarskich rewirach Reichenau-Neuberg w ciągu toku tegorocznego 146 głuszców i 5 cietrzewi.

Szybkość lotu gołębi. Czasopismo francuskie *Ciel et Terre* podaje następujące daty o szybkości lotu gołębi.

W Calni na Korsyce wypuszczono pewnego dnia o wpół do piątej rano 649 gołębi. Czas był pogodny przy lekkim wietrze zachodnim. Odległość, którą gołębie miały przebyć, wynosiła w prostej linii 900 kilometrów, z których 150 przypadało na przebycie morza. Wypuszczone gołębie leciały w kierunku Monacco, następnie zaś ku środkowej Francyi. W ciągu dnia wzmógł się wiatr i wiał silnie w kierunku północno-zachodnim. Pierwszy gołąb przybył do Verviers, dokąd był wysłanym, dnia następnego o godz. 3 min. 16 popołudniu, potrzebował więc do przebycia tej przestrzeni 27 godzin, to znaczy, że średnia szybkość jego lotu wynosiła 555 metrów na minutę czyli 9 metrów na sekundę.

Na mniejsze odległości średnia szybkość lotu gołębia jest o wiele większą i przechodzi czasem 1000 metrów na minutę. Przy próbach, które d. 24. czerwca r. z. czyniono pomiędzy Paryżem a Perigueux, przebyły pierwsze 10 gołębi po 1100 metrów na minutę. W czasie prób, czynionych na przestrzeni między Paryżem a Lilles, d. 30. września z. r., pomimo pory deszczowej, przebyły niektóre gołębie po 1260 metrów na minutę. Wiatr wywiera znaczny wpływ na lot gołębi. Gdy jest spokojnie i na niewielkie oddalenia, można 1100 metrów na minutę uważać jako średnią szybkość lotu gołębia; gdy wieje mierny wiatr w kierunku sprzyjającym, wtedy szybkość lotu dojść może do 1400 a nawet do 1800 metrów na minutę; gdy jednak panuje wiatr przeciwny, wtedy szybkość lotu gołębiego spada na 850, a nawet na 600 metrów na minutę.

Co do wysokości w czasie lotu, utrzymuje się gołąb przy pięknej pogodzie i wietrze wschodnim lub południowym na 120 do 150 metrów nad ziemią, przy wietrze zaś północnym lub zachodnim na wysokości 100 do 130 metrów. Gdy pada deszcz, a wiatr jest od północy lub wschodu, leci gołąb tuż ponad ziemią; gdy deszcz pada przy wietrze południowym lub zachodnim, wznosi się na 100 do 130 metrów nad ziemię. Gdy jest bardzo cicho i niebo całkiem bez chmur, dochodzi wysokość lotu gołębia do 250 a nawet 300 metrów.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.